

ANGELA DEVINE

Ognista lilia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Blask słońca był wprost oślepiający. Caroline zahamowała i jej terenowy wóz z napędem na cztery koła pochylił się do przodu, zatrzymując przed ogromnym, rozłożystym drzewem gumowym. Pośpiesznie wyskoczyła z samochodu, ale rozczarowała się – na zewnątrz było jeszcze goręcej. Choć to koniec lipca, ani śladu wiatru, a powietrze jak z pieca hutniczego.

– Najwyższy czas, żeby się przebrać i czegoś napić – mruknęła, poprawiając ręką wilgotne, ciemne włosy.

Zdecydowała się na jasnozieloną bluzkę, pasującą do szortów. Mimo że Caroline znajdowała się w samym środku australijskiego interioru i prócz niej nie było żadnego człowieka w promieniu wielu, wielu kilometrów, odruchowo rozejrzała się dokoła, kiedy ściągała przepoconą bluzkę. Ale jedynymi żywymi istotami, które mogłyby ją podglądać, były czarne mrówki rojące się wokół dziury w czerwonej ziemi. Zaśmiała się głośno z własnej głupoty. Wyciągnęła plastikową butelkę z wodą i odświeżyła się trochę. Potem suchym ręcznikiem wytarła włosy i nałożyła czystą bluzkę.

– Och, jak dobrze! Teraz trzeba się napić i coś zjeść, ale najpierw muszę doprowadzić do porządku włosy.

Błyskawicznie rozstawiła składany fotelik i stół. Wyciągnęła płócienną torbę z przyborami toaletowymi i przyjrzała się sobie krytycznie w małym lusterku.

Wprawdzie po dwóch dniach na jej jasnej angielskiej cerze nie znać jeszcze było śladów ostrego, australijskiego słońca, ale wilgotne włosy miała potargane, a wargi spieczone. Energicznie zabrała się do rozczesywania włosów i poprawiania makijażu.

Po dwóch latach ciężkiej pracy, zdecydowana nie poddawać się, znalazła się oto sama w tym oddalonym od świata regionie Australii. Aż trudno było uwierzyć, że to nie sen. Przymknęła oczy, poddając się powiewom suchego, gorącego wiatru. Wokół unosił się ostry, aromatyczny zapach liści eukaliptusowych, a do uszu wdzierało się przenikliwe granie cykad. O tak, pozostawiła daleko za sobą South Kensington. Otworzyła oczy.

– Caroline Faircroft – powiedziała głośno – to twoja największa przygoda. A jeśli odnajdziesz ten kwiat, wiele dzieci będzie ci zawdzięczać życie.

Schowała z powrotem przybory toaletowe i wydobyła kanapki i mapę. Jeśli chce być w Anapunga przed nocą, musi się śpieszyć. Rozmiękła bułka była ciepła i natychmiast pojawiły się muchy, ale zajęta mapą Caroline nie zwracała na to uwagi. Była teraz godzina druga po południu i do zmierzchu zostały jej tylko cztery godziny. Może jechać tą drogą najwyżej sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, a pozostało do pokonania ponad trzysta. Rozejrzała się bezradnie. Kilkanaście kilometrów stąd, jak wynikało z mapy, odchodzi boczna droga. W ten sposób skróciłaby trasę o połowę. Oczywiście droga będzie trochę wyboista, ale czy nie warto zaryzykować?

Wyboista! – pomyślała w godzinę później. – To po prostu teren księżycowy! Chyba upadłam na głowę! Poprzez zakurzoną szybę samochodu widziała jak okiem sięgnąć tylko czerwoną ziemię, kępy białej komosy i przejrzyste błękitne niebo. Jakiś kangur przeskoczył

beztrosko nad maską samochodu i kilka razy stado czerwono-czubych kakadu zerwało się z wrzaskiem na jej widok. Ale poza tym nie działo się nic ciekawego, tylko wóz podskakiwał na wybojach, boleśnie dając się we znaki jej kościom. Całą uwagę skupiała więc na omijaniu ogromnych wyrw, które raz po raz pojawiały się przed kołami i pocieszaniu się, że wkrótce droga będzie lepsza. Niestety.

Po godzinie czwartej, kiedy pokonała kolejne wzniesienie, zobaczyła przed sobą strome zbocze usiane gęsto ogromnymi kamieniami. Prerażona, na próżno szukała wśród tego skalnego rumowiska śladu jakiejś drogi. Początkowo posuwała się jakoś do przodu, a kamienie wypryskiwały spod kół jak gigantyczne kręgle. Nagle przed dziupem wyrósł ogromny głaz. Caroline skręciła gwałtownie kierownicę, ale było już za późno. Rozległ się potworny zgrzyt i trzask, a dziewczyna uderzyła głową o przednią szybę.

Przez kilka sekund siedziała nieruchomo pod wpływem doznanego szoku, a na jej czole rósł guz wielkości jaja. Zaciśnęła pięści i jęknęła boleśnie.

– A niech to cholera! – krzyknęła, tłukąc pięściami w kierownicę.

Wyskoczyła z samochodu, żeby obejrzeć uszkodzenie. Kopnąwszy wściekle w przednie koło przykucnęła i zajrzała pod dziupę. Miała za sobą kurs naprawy samochodów i potrafiłaby wymienić koło czy też zastąpić pasek klinowy rajstopami. Ale to, co zobaczyła, było przerażające. Spód wozu był rozpruty, a różne jego części smętnie zwisały nad głazem, który stał się przyczyną katastrofy. Nigdy nie da rady tego naprawić! Nigdy! Miała wprawdzie w wozie zapas jedzenia i wody na trzy dni, ale okolica wydawała się zupełnie bezludna. Co będzie, jeśli w ciągu tych trzech dni nie pojawi się żaden człowiek? Poczowała ogarniający ją lodowaty strach...

Dwie godziny później Caroline, usadowiwszy się w cieniu dziupę, próbowała zdrzemnąć się choć trochę. Śpiwór i mata okazały się jednak niewystarczające na twardym, kamienistym podłożu, a nie sposób było wytrzymać w wozie nagrzanym palącym popołudniowym słońcem. Dokuczalo jej również pragnienie, ale starała się oszczędzać wodę.

Oślaniając dłonią oczy rozejrzała się po równinie, rozciągającej się przed nią jak podniszczony stary dywan. Miała nadzieję ujrzeć coś, co zdradzałoby obecność wody: zielony skrawek roślinności czy krętą stróżkę płynącą z jakiegoś źródła. Nie zauważyła jednak niczego. Tylko oślepiający błękit nieba, bezmiar lśniącej czerwieni równiny i gdzieś od wschodu, w trudnej do określenia odległości, poruszający się obłoczek kurzu. To coś się rusza! W przypiływie nagłej energii gorączkowo przetrząsała zawartość bagażnika w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby zwrócić z daleka uwagę. Zatrąbiła wściekle klaksonem, wdrapała się na maskę samochodu i zaczęła wymachiwać czerwoną bluzką, dawała znaki lusterkiem i wrzeszczała ze wszystkich sił. A może to tylko wiatr uniośł piasek albo jakieś zwierzęta szukały pożywienia? Jaskrawe światło oślepiało ją i mieszało barwy nieba i ziemi. Z okrzykiem rozpaczony Caroline zeskoczyła na ziemię i wydostała z dziupę lornetkę. To, co zobaczyła, sprawiło, że lornetka wypadła jej z drżących rąk.

– To chyba udar słoneczny – szepnęła do siebie niepewnie. – Bo przecież skąd by się tutaj wziął ten ubrany na biało człowiek na wielbłądzie?

A gdy tak patrzyła przestraszona i zafascynowana, obłoczek piasku stawał się coraz większy i większy. Ciągłe nie dowierzając własnym oczom, Caroline zbiegła po zboczu i zatrzymała się na dole, gapiąc się na dziwne zjawisko. Wielbłąd jakby płynął, a biel szat jeźdźca lśniła oślepiająco na de oświetlonej jaskrawym blaskiem słońca pustyni. Gdy już ta niesamowita para była blisko, zwierzę zwolniło kroku, a jadący na nim człowiek wydał głośną komendę w jakimś obcym języku. Przez chwilę jechali jeszcze truchtem, aż wreszcie zatrzymali się. Wtedy padła następna niezrozumiała komenda i wielbłąd ukląkł, żeby jeździec mógł z niego zsiąść. Caroline z bijącym sercem obserwowała wysokiego, szczupłego mężczyznę idącego po piachu w jej kierunku. Kto to taki? Może jakiś ekscentryczny szejik arabski? Jak się z nim dogada, jeśli on nie mówi po angielsku?

Ale gdy odwinął burnus osłaniający twarz przed piaskiem, zobaczyła, że to nie jest prawdziwy Arab. Miał jasne jak dojrzałe zboże włosy i błękitne jak chabry oczy. Najbardziej zaskoczyło ją to, że aż kipiał z wściekłości, chociaż najwidoczniej starał się opanować. I może dlatego Caroline pośpiesznie pobiegła w jego kierunku, zdenerwowana jak uczennica, wołając piskliwym głosem:

– Och, dzięki Bogu! Nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwa, że pana widzę...

Urwała w pół słowa, widząc jego ponurą minę. Z nie ukrywaną pogardą obrzucił ją całą uważnym spojrzeniem – od guza na czole i złotych kolczyków z perełkami aż do eleganckich skórzanych sandałów.

– Przekłeta idiotka! – powiedział wzgardliwie. Chyba minutę stali tak, przyglądając się sobie wzajemnie. Caroline udała, że nie dostrzega groźnego spojrzenia. Z uśmiechem wyciągnęła do niego rękę.

– Dzień dobry panu – powiedziała spokojnie i uprzejmie, z lekko wyczuwalnym drżeniem w głosie. – Nazywam się Caroline Faircroft. Przyjechałam z Londynu. Jestem botanikiem.

Z niewzruszoną twarzą zgniółł w twardym uścisku jej szczupłą, białą dłoń.

– Adam Fletcher – odpowiedział krótko. – Ten cały teren należy do mnie.

Można się było tego spodziewać, pomyślała z rozpaczą Caroline. A maniery ma takie, jakby i reszta kontynentu była jego własnością. Pomimo narastającej niechęci do tego człowieka zdawała sobie doskonale sprawę, że jedynie on może pomóc jej w tej okropnej sytuacji.

– Czy może pan sprawdzić, co się stało w moim dziupie? – odezwała się. – Chyba złamało się coś od spodu i absolutnie nie wiem, jak to naprawić. Czy gdzieś w pobliżu jest jakiś mechanik?

Wybuchnął tak ordynarnym śmiechem, że aż drgnęła. A potem niespodziewanie chwycił ją za ramiona i podniósł do góry.

– Pani jest Angielką, tak? – zapytał irytującym tonem.

– Tak. A co w tym złego?

Postawił ją z powrotem na czerwonej, spękanej ziemi.

– To w pewnym stopniu tłumaczy pani bezmierną głupotę.

Caroline poczuła się nieswojo.

– Dlaczego pan jest taki zły na mnie?

– Pozwoli pani, że jej to wyjaśnię. Proszę przyjrzeć się dobrze tej równinie. Niech pani weźmie lornetkę i dokładnie zbada cały teren od łańcucha górskiego daleko na południe, wzdłuż linii horyzontu aż na północ. I co pani widzi?

Caroline posłusznie oglądała przez lornetkę dziki, pustynny pejzaż.

– Skały, czerwony piasek – wyliczała – krzewy komosy, drzewa gumowe, błękitne niebo.

– I co jeszcze? – nie ustępował Adam Fletcher.

– Nic – odpowiedziała zdezorientowana.

– Właśnie. Nic. Absolutnie nic. Żadnego śladu obecności człowieka w promieniu stu kilometrów, a może więcej. A pani zapuszcza się w to odludzie sama, bez niezbędnego ekwipunku, nie wiedząc właściwie nic o tym kraju, mając nadzieję, że znajdzie się jakiś miły, uczynny mechanik, który naprawi zepsuty samochód. To właśnie nazywam głupotą!

– Zaraz, chwileczkę – zaprotestowała Caroline. – Co ma pan na myśli, mówiąc o niezbędnym ekwipunku? Mam dość jedzenia i wody na trzy dni. Nie wspominając już o śpiworze i sprzęcie kempingowym!

– Nadzwyczajne! – wykrzyknął Adam Fletcher, przedrzeźniając jej wymowę, charakterystyczną dla wykształconych Anglików. – To wspaniale, kochana, ale nie o to tylko chodzi. Czy zawiadomiła pani komisariat policji, gdzie się pani wybiera i kiedy zamierza pani wrócić?

– Nie – przyznała niechętnie.

– Czy czeka ktoś na panią w miejscu, dokąd pani zdąży, ktoś, kto zacznie poszukiwania, jeśli nie pojawi się pani przed zachodem słońca?

Potrząsnęła przecząco głową.

– No to ma pani cholernie dużo szczęścia – warknął. – To czysty przypadek, że znalazłem się w tym rejonie i zobaczyłem światło słoneczne odbijające się w przedniej szybie samochodu. W przeciwnym razie umarłaby pani przed upływem tygodnia.

– Umarła? – Caroline przeraziła się, ale za moment odzyskała równowagę. – Bzdura! Jechałam przecież drogą publiczną.

– Na tej drodze pojawia się ktoś raz na dwa, trzy miesiące – stwierdził ponuro.

Patrzyła na niego z otwartymi ustami. Korzystając z jej zaskoczenia, wziął ją za ramiona i obrócił twarzą w stronę, z której przybył.

– A teraz proszę mnie słuchać. Nie jest pani w Mayfair. Nie można tu przyjechać i żądać, żeby ten kraj dopasował się do pani zachcianek. To wielki kraj, który nie ma sobie równych, i to pani musi zmienić swoje przyzwyczajenia. Jasne?

– Tak – odpowiedziała ze złością. Palący dotyk jego dłoni przez bawełnianą bluzeczkę wywołał coś, co trudno byłoby wyrazić słowami: podniecenie, a zarazem strach. Wstrząsnął nią dreszcz.

– Co się stało? – zapytał Adam Fletcher, odwracając ją znowu twarzą do siebie.

Poddała się bezwiednie uściskowi jego ramion, walcząc z chęcią zamknięcia oczu i przytulenia się do niego, jakby w poszukiwaniu schronienia przed tą ogromną, przerażającą pustką.

– Nie wiem – wyznała. – Nagle odczułam cały ten bezkres. I zrozumiałam, że jestem tylko pyłkiem we wszechświecie.

– Tak, to się zdarza – przyznał. – Ale wydaje mi się, że to dobrze robi ludziom, jeśli czasem poczują, jak niewiele znaczą. Należy się wtedy temu poddać i słuchać bicia serca tego kraju. Gdy się go naprawdę pozna, okaże się, że wcale nie jest tu tak pusto. To kraj okrutny, ale piękny. I tętniący życiem.

Caroline słuchała bez słowa, zdziwiona blaskiem bijącym z jego błękitnych oczu.

– Pan naprawdę kocha ten kraj? – zapytała drżącym głosem.

Westchnął tylko, jakby na znak, że na tak śmieszne pytanie nie ma zamiaru odpowiadać.

– Zobaczę, co pani zepsuła w samochodzie. Przykucnął, obejrzał wóz od spodu i głośno gwizdnął.

– Do diabła! – wykrzyknął. – Czy wie pani, że urwany jest dyferencjał?

– Co takiego? – bezmyślnie zapytała Caroline.

– Dyferencjał. Jest kompletnie zniszczony.

– Można to naprawić?

Adam Fletcher w zamyśleniu pocierał podbródek.

– Chyba tak. Oczywiście, jeśli sprowadzimy tu kogoś przed porą deszczową. Kiedy zaczną padać deszcze, trwa to miesiącami. Ale nie będziemy teraz zawracać sobie tym głowy. Może weźmie pani swoje rzeczy i pojedziemy do mnie?

– Dokąd? – zapytała Caroline.

– Do mnie. Mam gospodarstwo w Winnamurze.

– Mówił pan przecież, że w promieniu stu kilometrów nie ma żadnych osad – przypomniała złośliwie.

Po raz pierwszy Adam uśmiechnął się szeroko. Wokół jego oczu pojawiły się małe zmarszczki. I nagle wydał się jej nawet przystojny z tymi białymi zębami i wyrazistymi rysami twarzy.

– To właśnie jest sto kilometrów stąd – odparł.

– A teraz proszę się zastanowić, co pani weźmie. Chciałbym przed zachodem słońca znaleźć jakieś odpowiednie miejsce na nocleg.

– Ale jak się tam dostaniemy? – zapytała. Adam wskazał głową na wielbłąda, który spokojnie stał u stóp pagórka.

– Jedda nas poniesie – odpowiedział beztrząsco.

– Proszę się pośpieszyć i wziąć tylko to, co naprawdę jest konieczne.

Caroline podeszła niepewnym krokiem do samochodu. Wszystko było bardzo potrzebne! Od nowoczesnego mikroskopu do małej turystycznej kuchenki i turystycznego stolika. Niezdecydowanie wzięła do ręki latarkę i pojemnik z wodą, potem odłożyła latarkę i zaczęła wyciągać dwie torby podróżne pełne ubrań.

– Szybciej! – ponaglił ją Adam.

– Przecież się śpieszę! – odkrzyknęła.

Chwył jedną z toreb i wyrzucił jej zawartość na podłogę samochodu.

– Może pani wziąć tylko osiem kilogramów – uprzedził bezlitosnym tonem. – Jeśli

wyberze pani nieodpowiednie rzeczy, nie ja będę cierpieł z tego powodu. No, niech się pani rusza!

Dlaczego jest taki niemiły? – pomyślała Caroline, grzebiąc ze złością w swoich rzeczach. – Zupełnie jakbym przyjechała tu specjalnie po to, żeby mu zawracać głowę. Poza tym dobrze wychowany człowiek odwróciłby się widząc, że pakuję swoją bieliznę.

Zabawne, co też niektórzy uważają za niezbędny ekwipunek, stwierdził w duchu Adam Fletcher na widok koronkowego niebieskiego staniczka i torby z przyborami toaletowymi.

Caroline dołożyła jeszcze suszarkę do włosów, trzy czyste bawełniane bluzeczki, szorty, parę solidnych skórzanych butów, kompas, zapalniczki, koc, konserwy i otwieracz do konserw. To spotkało się z wyraźną aprobatą Adama. Po chwili wahania odłożyła na miejsce walizkowy komputer. Pomiedzy ubrania wsunęła ostrożnie teczkę z dokumentami i zdjęciami i wyciągnęła błyszczące drewniane pudełko.

– A co pan myśli o moim mikroskopie? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Chyba pani żartuje – jęknął w odpowiedzi.

– Ale on jest mi potrzebny do pracy i kosztował fortunę! – zaprotestowała Caroline.

– Tak, to rzeczywiście problem, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, jak często popełniane są tu przestępstwa kryminalne – powiedział ironicznie.

Urażona odłożyła mikroskop pomiędzy ubrania.

– Jestem gotowa – oznajmiła lodowatym tonem.

– A co ze śpiworem? Chyba że chce pani dziś w nocy przytulić się do mnie. Nie mam nic przeciwko temu.

Caroline zaczerwieniła się. Bez słowa wyciągnęła śpiwór. Rozzłoszczona zrolowała go i wcisnęła do worka.

– Jestem gotowa – powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

– Dobrze, a teraz będzie pani miała pierwszą lekcję jazdy na wielbłądzie.

Caroline postanowiła nie odzywać się ani słowem, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne, jednak ciekawość wzięła górę.

– Dlaczego pan podróżuje na wielbłądzie? Adam owinał burnus wokół głowy i twarzy i nadspodziewanie pięknym barytonem zanucił jakąś filmową melodię, która wydała się Caroline dziwnie wzruszająca na tle tej scenerii.

– Po prostu uważam, że to bardzo praktyczny sposób podróżowania w tutejszych warunkach. W dawnych czasach wielbłądy były tu często używane i w posiadłości mojego dziadka zawsze byli afgańscy poganiacze. Jeszcze teraz mam ich kilku, bo chętnie podtrzymuję tradycyjne zwyczaje. A biały ubiór doskonale chroni przed słońcem i kurzem. No, a teraz wsiądzie pani na tę pocziwą wielbłądzicę. Jedda, to jest Caroline.

Caroline wzdrygnęła się, gdy wielbłądzica odwróciwszy głowę spojrzała na nią wyniośle. Adam oparł rękę na jej grzbiecie i uspokojone zwierzę pozwoliło przytroczyć skórzane sakwy. Potem usadowił się na grzbiecie i jedną ręką objął w talii Caroline.

– Niech pani wybaczy, jeśli będzie trochę ciasno, ale siodło przeznaczone jest tylko dla jednej osoby.

Caroline z przyjemnością wdychała zapach drogiej francuskiej wody kolońskiej,

zmieszanej z wonią potu i kurzu. Gdy Adam pochylił się, żeby wziąć cugle, dotknął brodą jej obnażonych ramion. Caroline wydał się naprawdę atrakcyjnym mężczyzną. Ale od czasu nieudanego małżeństwa z Jeremim Hetheringtonem miała całkowicie dość mężczyzn. Wyprostowała się, usiłując odsunąć się jak najdalej od Adama.

Miała pecha, bo właśnie w tej chwili wykrzyknął niezrozumiałą komendę i wielbłądzica stanęła na tylnych nogach. Przednimi nadal klęczała na ziemi i Caroline omal nie przeleciała nad jej głową. Oczywiście Adam zdążył ją przytrzymać i posadzić na miejsce.

– Jeśli nie umie pani jeździć wierzchem, to powinna mieć pani przynajmniej tyle oleju w głowie, żeby trzymać się mnie mocno – warknął.

– Umie – odpowiedziała ze złością. – Ale nie na takim ogromnym zwierzęciu, którego nogi składają się jak w turystycznym stoliku.

– Najwyższy czas i tego się nauczyć!

Po następnej komendzie wielbłądzica stanęła na czterech nogach i ruszyła przed siebie. Wbrew oczekiwaniom było to dość zabawne, choć Caroline obawiała się, że lada chwila wyleci z siodła. Wokół widać było tylko krzewy komosy i kamienie. Raz przebiegła im drogę zwinna jaszczurka. Po jakimś czasie Adam ściągnął wodze i wielbłądzica zwolniła biegu.

– Nie chcę jej przemęczać – wyjaśnił stłumionym przez burnus głosem. – Czy widzi pani to wzniesienie w oddali? Dobrze byłoby dotrzeć tam przed nocą. Po drugiej stronie jest doskonała woda i miejsce na obozowisko. Nazywa się Walter's Springs.

Wielbłądzica kołysząc się miarowo zmierzała w kierunku wzgórza. Caroline zrozumiała już, dlaczego to zwierzę nazywane jest „okrętem pustyni”. Robiło jej się niedobrze, a chociaż miała na głowie kapelusz z szerokim rondem, oczy bolały ją od oślepiającego blasku słońca. Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, którą otarła twarz i szyję.

– Jutro rano będzie pani miała spaloną skórę. Proszę to wziąć.

Szybko ściągnął swoją białą szatę i zarzucił jej na ramiona.

– A pan?

– Ja już jestem opalony, więc wytrzymam jedną czy dwie godziny. Nie chciałbym, żeby dostała pani udaru słonecznego.

Caroline zaskoczyła jego niespodziewana troskliwość i już chciała wyrazić swą wdzięczność, ale Adam pozbawił ją złudzeń, kończąc złośliwie:

– I tak mam z panią dość kłopotu.

Zła na niego, zachowała jednak milczenie, bo cały czas musiała uważać, żeby nie spaść z wielbłąda. Gdy już byli w połowie drogi do wzgórza, nagle ukazał się jej oczom jaskrawo-różowy, miejscami pomarańczowy zachód słońca. Nieprawdopodobnych kształtów złote i szkarłatne obłoki przesuwwały się po niebie.

– O Boże! Czy moglibyśmy się zatrzymać i popatrzeć? – poprosiła.

– Nie, nie moglibyśmy. Chcę wydostać się z tych kamieni, póki Jedda nie połamała nóg. Yiha! Naprzód, maleńka!

Zanim jeszcze zjechali ze wzgórza, Caroline usłyszała szum wody, a potem ujrzała otoczone bujną zielenią jeziorko. Ze skał, pośród gęstych paproci, spływała kaskadą woda. Prawdziwy klejnot w tym wysuszonym pejzażu.

– Jak ślicznie! – zachwyciła się Caroline. – Czy można tu popływać?

– Oczywiście – odpowiedział Adam ściągając wodze i zmuszając wielbłądzicę do zatrzymania się. – Klęknij, Jedda! Naturalnie trzeba uważać na krokodyle.

– Krokodyle? – powtórzyła przerażona. I zawahała się, czy ma zeskoczyć na ziemię.

– Bez paniki – uspokoił ją znużonym głosem. – Nic nam nie zrobią, ale nigdy nie można być zbyt pewnym. A poza tym ma pani takie same szanse być zjedzoną przez krokodyła, jak wpaść pod londyński autobus w drodze do pracy. Nie ma się więc czego obawiać, prawda?

– Pewnie ma pan rację – przyznała niechętnie.

Tylko że londyńskie autobusy nie mają wielkich, strasznych zębów ani wąskich, złych oczu, ani potwornego łuskowatego ogona, pomyślała ze wstrętem.

– Niech pani tak nie siedzi, tylko rozbierze się i popływa, zanim zrobi się ciemno! – ponaglił ją Adam. Zdjął ją bezceremonialnie z grzbietu zwierzęcia. Przestraszona Caroline stała bez ruchu.

– Jeśli boi się pani krokodyli, to stanę na straży, dobrze?

Z torby przytroczonej do siodła wyciągnął długą, groźnie wyglądającą strzelbę.

– Ale ja zapomniałam wziąć kostium kąpielowy.

– Do licha! – wykrzyknął. – Czy pani myśli, że będę się gapił na pani piękne ciało i że cośkolwiek zobaczę w tym świetle z odległości dwudziestu metrów? A teraz proszę pozwolić temu biednemu zwierzęciu napić się wody.

Czerwona z upokorzenia Caroline pobiegła z torbą nad jeziorko. W obawie przed krokodylami nie odważyła się wejść między drzewa, żeby tam się rozebrać. Obejrzała się na Adama Fletchera. Ściągając bluzkę, przeklinała go w duchu. Przyjrzała się swojej bieliznie i stwierdziła, że różowe majteczki i staniczek niewiele różniły się od kostiumu bikini.

Woda w jeziorku była chłodna i odświeżająca. Z rozkoszą nurkowała i pływała, obmywając z kurzu i potu rozgrzane ciało. Poszukała wzrokiem Adama. Stał obok wielbłądzicy ze strzelbą. Nigdzie nie widać było żadnego krokodyla. Z zanurzoną głową popłynęła do brzegu i wyszła z wody.

– Teraz moja kolej – powiedział z drwiącym uśmiechem. – Proszę się odwrócić, panno Faircroft, bo tak się składa, że ja również zapomniałem kąpielówek.

Caroline zamurowała jego bezczelność, ale zanim zdążyła się odwrócić, rozebrał się bez skrępowania. Przestraszona zerknęła ukradkiem na jego wspaniałą, męską sylwetkę. A on bezwstydnie przeszedł koło niej i zanurzył się w wodzie. Gdy nagrzanym ręcznikiem wycierała twarz, nie mogła powstrzymać się, żeby ukradkiem nie popatrzeć, jak pięknie pływa australijskim kraulem.

Adam dopłynął do wodospadu i stanął w silnym strumieniu wody. Nawet z odległości dwudziestu metrów Caroline mogła podziwiać jego atletycznie zbudowane ciało, oświetlone czerwonym blaskiem zachodu. Poczowała dreszcz pożądania, gdy wyobraziła sobie, jak obejmuje ją silnymi ramionami. Nagle usłyszała jego głos:

– To tak pilnuje pani krokodyli?

Zmieszana Caroline czym prędzej wytarła się i ubrała. Słońce już zaszło i zrobiło się wyraźnie chłodniej. Poczowała nagle głód i pragnienie, lekki ból w potłuczonej głowie i drzenie

w nogach zmęczonych jazdą na wielbłądzie. Niezdolna do jakiegokolwiek wysiłku rozwinęła swoją matę i położyła się. Poleżę tylko pięć minut, pomyślała, a potem pomogę temu gburowi. Tylko pięć minut...

Obudził ją jakiś smakowity zapach.

– Miałem zamiar pani nie budzić, ale uważam, że musi się pani pokrzepić. Proszę wziąć talerz i kawałek mięsa z rusztu.

– A co to takiego? – zapytała zaintrygowana Caroline, przyglądając się białemu mięsu i wdychając jego delikatny zapach. – Pachnie wspaniale!

– To australijska jaszczurka – odpowiedział. Cofnęła się ze wstrętem.

– Jaszczurka?

– I proszę nie kręcić nosem, zanim pani nie spróbuje. Po chwili wahania Caroline zdobyła się na odwagę i wzięła do ust mały kawałek pieczeni. Wszystkie jej wątpliwości natychmiast zniknęły.

– Dobrze! – przyznała zdumiona. – Smakuje jak kurczak.

– A teraz niech pani skosztuje tego.

Z ogniska wyciągnął coś, co wyglądało jak duży szary kamień. Okazało się, że był to mocno spieczony chleb. Odkroił sporą pajdę i podał Caroline.

– Oj, gorące! – pisnęła.

Ale jakie było pyszne, chrupiące! Ogień potrzaskiwał wesoło, rozsypując złote iskry, a nad ich głowami na granatowym niebie migotały białe gwiazdy. Caroline przymknęła na chwilę oczy. Usłyszała szum wodospadu i szelest jakichś stworzeń pełzających wśród krzaków. Wtedy poczuła, że ponownie ogarnia ją lęk.

– To nie krokodyl, prawda? – zapytała nerwowo.

– Nie – odpowiedział Adam. – Niech się pani napije teraz herbaty i proszę się niczego nie bać.

Zakrzywionym patykiem zdjął z ognia poczerniałą menażkę i nalał wrzątku do emaliowanego kubka, w którym zanurzona już była torebka herbaty.

– Czy chce pani galaretki z fasoli? To bardzo wzmacnia.

– Proszę.

Kończyła w milczeniu ten niezwykły posiłek, przyglądając się sennie Adamowi, który co pewien czas wstawał, żeby dorzucić drzewa do ognia. Ma chyba trzydzieści cztery lub trzydzieści pięć lat – oceniła. – Ciekawe, czy jest żonaty? Czy ma dzieci? Nie wiadomo dlaczego obie te ewentualności wzbudzały w niej niepokój. Ziewnęła i zamrużyła oczami. Zauważyła, że Adam obserwuje ją z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Wygląda pani na wyczerpaną – powiedział szorstko. – Lepiej będzie, jeśli pójdzie pani spać.

– Chciałam pozmywać naczynia – zaprotestowała.

– Nie jestem do tego przyzwyczajony – odpowiedział gburowato. – Jutro będzie pani kompletnie do niczego, jeśli teraz dobrze pani nie wypocznie. Tak więc proszę się na mnie nie gapić i iść już.

– Jak pan sobie życzy – powiedziała lodowatym tonem.

Wśliznąwszy się do śpiwora, odwróciła się do Adama plecami. Kilka minut temu częstował ją jedzeniem i herbatą, wydawał się taki ludzki, troskliwy. Ale najwidoczniej w taki sam sposób karmił i poił swoją wielbłądnicę. Po prostu nie chciał, żeby padła mu gdzieś na pustyni. Jak tylko dotrzemy do jego domu, postanowiła, wynajmę innego dżipa i wyruszę dalej. Nigdy już nie będę musiała oglądać tego dowcipnego Adama Fletchera. A jeśli odnajdę tę roślinę, będę mogła uznać, że nie zmarnowałam czasu.

Rozmyślając o przedmiocie swoich poszukiwań, długo nie mogła zasnąć. Księżyc był już wysoko na niebie, kiedy wreszcie zapadła w sen. Po jakimś czasie znów się obudziła, otworzyła oczy i zobaczyła niesamowite światło księżyca odbijające się od srebrzystego pnia eukaliptusa i spokojnej wody jeziora. Twarde podłoże dało się jej we znaki. Już chciała zmienić pozycję, gdy nagle zobaczyła coś majaczącego w ciemności, co zmroziło jej krew w żyłach. Długi, nieruchomy kształt, który mógłby być kłodą, gdyby nie okropne oko, które dostrzegła nad powierzchnią wody. Przez długą, bardzo długą chwilę Caroline leżała sparaliżowana strachem. Nagle krokodyl gwałtownie wyskoczył z wody i z otwartą paszczą zaczął szybko zmierzać w jej kierunku. Z potwornym krzykiem zerwała się na równe nogi.

– Na litość boską! Co się stało? – zawołał Adam.

– Krokodyl! Krokodyl! Niech pan tam spojrzy! Walczyła jeszcze ze śpiworem, gdy objął ją ramieniem i z lekka nią potrząsnął.

– Tu nie ma krokodyli, Caroline. Śniło ci się! – powiedział z irytacją.

– Ale ja go widziałam!

– Nie mogłaś widzieć. To był sen. Spójrz sama.

Wracając do przytomności, przyjrzała się podejrzliwie oświetlonej księżycem wodzie. Było cicho i spokojnie. Z uczuciem ulgi szepnęła:

– Przepraszam. Mogłabym przysiąc, że...

– Nie ma o czym mówić. Już minęło. Przestań się trząść.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że obejmował ją silnymi ramionami. A on zaśmiał się cicho, przyciągnął do siebie i pogłaskał po włosach. Odprężając się z wolna pod wpływem tej niespodziewanej pieczyoty, westchnęła i osłabiona przytuliła się do niego. Kołysząc ją w ramionach, pocałował delikatnie w policzek.

A potem stało się coś, co ich oboje zaskoczyło. Na wpół jeszcze śpiąca Caroline poszukała ustami ust Adama. Zaskoczony wstrzymał oddech, a potem przycisnął ją mocniej do siebie i zaczął całować tak, jak nikt jeszcze dotąd. Czowała twardość jego mięśni i to, że z trudem panuje nad sobą. Całował zachłannie jej usta i szyję. Caroline drżała z podniecenia i instynktownie przytuliła się do niego.

Rozpalona i drżąca oddawała mu namiętne pocałunki, a on jeszcze mocniej przytulił ją do siebie. Wtedy ogarnęła ją nagle panika. Żywo stanęły jej w pamięci ostatnie straszne tygodnie z Jeremim. Ze wstrętem i przerażeniem odepchnęła gwałtownie Adama.

– Nie, nie chcę! – krzyknęła. – Nie mogę! Nie zrozumiesz tego!

Patrzył na nią osłupiały, z twarzą mieniającą się na przemian pożądaniem i niedowierzaniem. Wyciągnął rękę.

– Puść mnie! Zostaw mnie! Pozwól mi odejść! Ogarnął ją spojrzeniem i przez moment

myślała, że nie ustąpi, i nawet tego pragnęła, widząc w tym szansę na pozbycie się lęków. Ale wtedy on wstał i powiedział z goryczą:

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. I odszedł.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego ranka Caroline obudziła się z jakimś niejasnym uczuciem zakłopotania. Nagle przypomniała sobie wydarzenia poprzedniego wieczora. Wydostała się ze śpiwora i podeszła do Adama, który krzątał się przy ognisku, smażąc naleśniki.

– Słuchaj... – zaczęła. – Chciałam cię przeprosić. Nie zamierzałam...

– Nie myśl już o tym – przerwał jej. – Nic takiego się nie stało. – I odwrócił się do niej plecami.

Przez następne dwa dni nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień. Sam odzywał się tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne.

Caroline odetchnęła z ulgą, gdy późnym popołudniem drugiego dnia dotarli do gospodarstwa w Winnamurze. Już z daleka zobaczyła skrzące się od słońca blaszane dachy drewnianych zabudowań stojących wśród rozłożystych pieprzowców. Gdy podjeżdżali czerwoną, piaszczystą drogą, z drewnianych bud wyskoczyła z głośnym ujadaniem para psów. Grupa aborygeńskich dzieciaków uwiesiła się na bramie, ze śmiechem machając do nich rękami. W chwilę później ze stajni wyszedł czarnoskóry mężczyzna w dzinsach, kraciastej koszuli i kapeluszu z szerokim rondem.

– Witaj, Adamie. A kogo to znalazłeś na pustyni?

– Witaj, Danny – odpowiedział Adam, zeskakując z wielbłądicy. – To jest Caroline Faircroft. Jej dżip zepsuł się na drodze do Anapungi. Zostanie tu dzień lub dwa, zanim uda mi się wyprawić ją do Darwin. Caroline, to jest Danny Japulula, mój główny pasterz. Caroline nie spodobało się, że potraktowano ją jak paczkę, którą można gdzieś wysłać, ale nie była to odpowiednia chwila na wyjaśnienia.

– Dzień dobry panu – powiedziała pochylając się z wielbłąda i podając rękę na powitanie.

– Miło mi panią poznać – mruknął Danny. – Miała pani naprawdę dużo szczęścia, że szef znalazł panią. To niebezpieczna okolica dla tych, którzy jej nie znają. A jak się ma moja stara pocziwa Jedda?

– Nakarm ją i zaprowadź do zagrody. Porozmawiamy potem o stadzie z Grainger Ridge, ale przedtem trzeba przewieźć dwie jałówki do Alana Webba. Muszę zadzwonić w sprawie wołów, które wypuściliśmy na trawę w Walter's Springs. Pozostaje też problem Caroline. Przypuszczam, że będę wolny za mniej więcej godzinę.

– Poczekam – odpowiedział Danny i biorąc wodze zawołał: – Klęknij, Jedda!

– Podaj rękę! – rozkazał Adam z pochmurną miną. Nawet ten krótkotrwały dotyk sprawił, że gorący prąd przeniknął ciało Caroline. Gdy stanęła na ziemi, odwiązał torby i zarzuciwszy je na ramiona, szybkim krokiem ruszył ku domowi. Caroline musiała prawie biec, żeby nadążyć za nim. Wbrew jej oczekiwaniom dom sprawiał miłe wrażenie. Zbudowany był na drewnianych palach dla lepszej cyrkulacji powietrza i zabezpieczenia przed powodziami. Weszli szerokimi schodami na werandę, z której roztaczał się wspaniały widok na okolicę. Pochyły okap osłaniał dom przed upałem. Stały tu w cieniu wiklinowe fotele i leżaki. Umeblowanie salonu stanowiły skórzane kanapy i skóry wołowe rozłożone na wypolerowanej

podłozie.

Caroline nie miała jednak czasu, by wszystko dokładnie obejrzeć, bo Adam nie zatrzymując się prowadził ją dalej, obok doskonale wyposażonej kuchni do wielkiego holu, gdzie szumiały umieszczone pod sufitem wentylatory i panował miły chłód. Adam postawił torby obok rzuconych w nieładzie skórzanych butów, pejczów i kowbojskich kapeluszy. Z szafy ściiennej wyjął dwa ręczniki i rzucił je Caroline.

– Chodźmy, pokażę ci twój pokój – powiedział, biorąc jej bagaże.

Gdy szli przez hol, obojętnym głosem wyjaśniał:

– Spiżarnia, gabinet, łazienka, pokój gościnny, mój pokój, a to twój.

Otworzył drzwi i stanął, by ją przepuścić.

– Tam jest druga łazienka – wskazał drzwi w końcu pokoju. – Kolację jemy zazwyczaj o ósmej. Przyjdź, jak będziesz gotowa. Gdybyś mnie potrzebowała, będę w pobliżu.

– Dziękuję.

Nie ukrywał, że chce opuścić ją jak najszybciej. Poczuli się urażona. Ale jednocześnie pomyślała, że ta zimna wojna nie ma sensu. Dotknęła lekko jego ramienia:

– Adamie, poczekaj...

– O co chodzi? – zapytał szorstkim, niemiłym głosem.

– Przepraszam cię za moje zachowanie wtedy nad jeziorkiem. Nie chciałam, żeby tak się to skończyło.

– Wiem, że nie chciałaś. Ale nie przejmuj się, Caroline. Raz dałem się nabrać i nie zamierzam znowu robić z siebie dumia.

– Poczekaj! Tak być nie może. Przecież uratowałaś mi życie i byłeś dla mnie miły.

– Miły! – Uniósł brwi, a w niebieskich oczach malowała się ironia. – Różne uczucia wywołałaś we mnie, Caroline, ale na pewno nie zamierzałem być miły.

– Czy nie moglibyśmy jednak być przyjaciółmi?

– Nie chcę być twoim przyjacielem – odpowiedział z krzywym uśmiechem. – Przecież doskonale wiesz, czego chcę od ciebie.

Nieoczekiwanie opaloną ręką pogłaskał ją po szyi. Aż zrobiło się jej gorąco od tego czułego dotyku.

– Przestań! – powiedziała zduszonym głosem.

– Naprawdę nie chcesz? – zapytał z lodowatym uśmiechem. – Jeśli wyobrażasz sobie, że w tej sytuacji możliwa jest między nami przyjaźń, to jesteś o wiele głupsza niż myślałem. Nie, moja mała, jedyne, co mogę zaoferować, to krótkotrwała gościnność, zanim wyniesiesz się stąd do diabła. Im prędzej, tym lepiej!

Zatrzasnął za sobą drzwi, aż Caroline podskoczyła. Zdenerwowana położyła się na łóżku.

Na myśl o tym, jak bliska była oddania mu się, robiło jej się na przemian zimno i gorąco. Przecież z Jeremim poszła do łóżka dopiero w rok po zaręczynach. A od rozwodu, przez trzy lata, nie miała nikogo! To dlaczego tak łatwo uległa czarowi tego mężczyzny?

Nie planowała żadnego romansu. Po nieudanym małżeństwie uznała, że dość się nacierpiała. Niech inne kobiety angażują się w miłość, seks, małżeństwo, jeśli im to odpowiada. Ona, Caroline Faircroft, chce czegoś innego od życia: sukcesu i kariery. I

powinna była dać to do zrozumienia Adamowi Fletcherowi, a nie rzucać mu się w ramiona. Ten cały epizod był okropną pomyłką.

Zmuszona była jednak korzystać z niezbyt miłej gościnności tego człowieka, przynajmniej do czasu, zanim wynajmie inny wóz. Jak przekonać Adama, że woli zostać w Winnamurze, że nie chce być odesłana do Darwina? Większość jej rzeczy pozostała w dziupie, na pustyni. Dopiero teraz zrozumiała, jak trudne są warunki życia w tej okolicy. To oczywiste, że jej wyprawa nie ma szans na powodzenie bez pomocy Adama. Dlatego trzeba jakoś załagodzić powstały między nimi antagonizm.

Zmęczona tymi rozmyślaniami rozejrzała się uważniej po pokoju. Był całkiem bez wyrazu. Na jasnych ścianach nie wisiał żaden obrazek. Beżowe zasłony od sufitu do podłogi ocieniały wielkie okno wychodzące na taras. Jedna ze ścian obudowana była szafkami, a jedyne meble to łóżko i drewniany stolik, na którym stało radio i nocna lampka. Wokół framugi drzwi zaczęto naklejać tapetę w kwiecisty wzór i to był jedyny ślad czyjejś osobowości. Caroline, która lubiła kwiaty, lustra, poduszki, kinkiety, wszelkie kolorowe akcenty, pokój ten wydał się bardzo nieprzytulny.

Podobnie wyglądała doskonale wyposażona łazienka.

O Boże, a jakie to ma znaczenie? – zwróciła się do swojego odbicia w lustrze nad umywalką. – Co cię obchodzi, że Adamowi Fletcherowi nie przeszkadza kurz na podłodze? Będziesz tu najwyżej dwa dni.

Gdy odkręciła kurek prysznicza, z radością stwierdziła, że płynie z niego gorąca woda. Po kilku minutach cudownej kąpieli owinęła się puszystym ręcznikiem, który dostała od Adama.

Wróciła do pokoju i wyciągnęła z torby suszarkę do włosów oraz teczkę z dokumentami i fotografiami. Jeśli Terry Connor, kustosz muzeum, w którym pracowała, miał rację, to poszukiwana przez nią roślina powinna znajdować się gdzieś w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów od Winnamury. Musi zdobyć wóz i załatwić przewodnika. Nie po to przebyła taki szmat drogi, żeby teraz zrezygnować. I dlatego dziś wieczór będzie bardzo, bardzo miła dla Adama.

Minutę po ósmej weszła do salonu. Dla dodania sobie animuszu ubrała się szczególnie starannie. Umyte, lśniące włosy wiły się z lekka wokół jej twarzy, blask szarych oczu podkreślony został subtelnym makijażem, usta pomalowała jaskrawoczerwoną szminką. W uszy wpięła złote kolczyki z perełkami, na szyi miała naszyjnik z kryształków oprawionych w złoto. Jedyna sukienka, jaką zabrała ze sobą, w ciemnoniebieskie i rdzawe kwiaty, leżała doskonale na jej smukłej figurze i pasowała do karnacji skóry.

Wiedziała, że wygląda bardzo dobrze, ale przerażała ją perspektywa spotkania z Adamem. Odetchnęła z ulgą, gdy stwierdziła, że jeszcze go nie ma. W powietrzu rozchodził się smakowity zapach pieczonego na rożnie mięsa. Caroline zajrzała do kuchni, ale i tam nie było nikogo. Wtedy usłyszała ostry gwizd z dołu.

– Chodź tutaj – zawołał niewidoczny Adam. – I przynieś sałatę. Zostawiłem ją w lodówce.

Zaintrygowana Caroline zajrzała do lodówki i znalazła tam miskę pełną apetycznie wyglądającej sałaty. Zawołała:

– Gdzie jesteś?

– Zejdź na dół i skręć w lewo.

Idąc za jego wskazówkami, znalazła się na wyłożonym kamiennymi płytkami dziedzińcu w pobliżu basenu z połyskującą wodą o barwie jadeitu. Cały teren był jasno oświetlony, gęste paprocie rzucały niezwykle cienie na posadzkę. Adam zajęty był smażeniem mięsa na ruszcie. Na odgłos jej kroków odwrócił się. Po raz pierwszy widziała go ogolonego i czysto ubranego. Wydał się jej nieodparcie przystojny i pociągający. Jasne włosy miał starannie zaczesane do góry, prawie czarne brwi i rzęsy uwydatniały błękit jego oczu. Nos miał prosty, o klasycznym kształcie. Robił wrażenie człowieka o zdecydowanym charakterze. Obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

– Czy chcesz się czegoś napić? – zapytał. – Ja piję szkocką whisky, ale może być dżin, tonik, białe wino, campari z wodą sodową.

– Poproszę o campari.

Cierpki smak napoju pomógł jej odprężyć się trochę. Bywała nieraz na różnych przyjęciach i koktajlach, i brała udział w sztucznej, napuszonej konwersacji, jakże niepodobnej do rozmów z Adamem w ostatnich dwóch dniach na pustyni. Tym bardziej nierealne wydawało się jej to, że teraz stoi tu w eleganckiej sukni, z kryształowym kieliszkiem w ręku.

– O co chodzi? – zapytał Adam. – Wyglądasz na zaskoczoną.

– Trudno mi uwierzyć w to wszystko. Taki kontrast z tym, co na zewnątrz. Jakbym oglądała jakiś film.

– Nasz region jest wspaniały, ale ja lubię komfort.

Urządziłem więc ten dom według moich upodobań. Kiedy jestem na pustyni, zadowolam się byle czym, ale w domu lubię sobie dogadzać.

Caroline podeszła do basenu, usiadła na kafelkowym obramowaniu i zanurzyła palce w zielonkawej wodzie.

– Tu jest wspaniale! – wyraziła swój zachwyt. – Pomyślałeś o wszystkim, nawet o lodzie i cytrynie do drinków. Jak ci się to udaje?

– Nie takie to trudne – odpowiedział. – Jeżdżę od czasu do czasu na zakupy do Darwina, mam też ogromną zamrażarkę. Jest tu wszystko, czego tylko zapragniesz.

– Jestem bardzo głodna!

– Świetnie. Siadajmy do stołu. Za minutkę mięso będzie gotowe.

Chwilę potem postawił przed Caroline ogromny talerz ze skwierczącym jeszcze stekiem, smażonymi pieczarkami i pieczonymi w folii kartofelkami polanymi śmietaną ze szczypiorkiem i górą świeżej sałaty.

– Nie uprawiasz tu chyba sałaty?

– Oczywiście, że nie. Mój sąsiad Alan Webb i jego żona mają szklarnię. Byli tu w zeszłym tygodniu i zostawili mi trochę świeżych jarzyn. Napijesz się czerwonego wina?

– Z wielką ochotą.

– Twoje zdrowie! – powiedział, upijając łyk ze swego kieliszka.

– Twoje zdrowie! – odrzekła Caroline.

Wino było doskonałe. Skąd taki człowiek, żyjący na odludziu, zna się na winach?

– Bardzo dobre – przyznała ze zdziwieniem w głosie. Uśmiechnął się rozbawiony.

– Nie oczekiwałaś tego? – zapytał. – Spodziewałaś się, że będę kładł nogi na stole i poczęstuję cię kuflem zimnego piwa z beczki?

– Ależ skąd! – zaprotestowała pośpiesznie, choć w rzeczywistości nie bardzo był daleki od prawdy.

– Bądź ostrożna ze stosowaniem stereotypów. To, że jestem kowbojem, nie oznacza, że jestem prostakiem. Ja z kolei mógłbym sądzić, że skoro wyelegantowałaś się jak paniusia i udajesz wielką damę, to musisz być arogancka i pretensjonalna.

Przez chwilę Caroline siedziała jak zamurowana, a potem zapytała, odkładając widelec:

– Dlaczego tak mnie nie znosisz?

– Nie znoszę? To chyba za mocne słowo – odpowiedział wrzuszając ramionami. – Osobiście nie mam nic przeciwko tobie. Ale uczciwie muszę przyznać, że nie cierpię tego wszystkiego, co sobą reprezentujesz.

– Co konkretnie masz na myśli?

– Ignorancję, nierozważne ryzykanctwo, aroganckie przeświadczenie, że swoją obecnością robisz zaszczyt temu krajowi. Spotykałem już takich ludzi.

Wprawdzie Caroline z natury była nieśmiała, ale nie mogła ścierpieć tej jawnej obrazy.

– Jesteś naprawdę impertynencki – powiedziała gniewnie. – Co ty w ogóle wiesz o mnie?

– Wyciągam wnioski z tego, co widzę – odparował Adam. – Przyjechałaś źle przygotowana, nie mając pojęcia o tutejszych warunkach życia. Tego rodzaju postępowanie prowadzi prosto do katastrofy. Nie myśl, że jesteś pierwszą taką „mądrą” turystką, która wpadła tutaj w tarapaty. W zeszłym roku pewna cudzoziemska rodzina też jechała na skrót, ale nie miała tyle szczęścia co ty. Brałem udział w poszukiwaniach i choć przywykłem do widoku martwych krów na drodze, to śmierć czteroletniego dziecka... Przerwał.

– Och, nie! – szepnęła Caroline z przerażeniem. – To straszne!

– Niech cię to nauczy, że ten kraj trzeba traktować z respektem. Szczerze mówiąc, doprowadziłaś mnie do wściekłości, rozczulając się nad swym mikroskopem, wyszukując najlepsze ubrania, kiedy powinnaś była dziękować Bogu, że w ogóle żyjesz. Dobrze by było, gdybyś to wszystko przemyślała i nigdy więcej nie popełniła takiego szaleństwa.

– Na pewno nie! – przyrzekła gorąco Caroline.

– W takim razie mogę powiedzieć: Witaj w naszym kraju! – powiedział Adam, wyciągając do niej rękę przez stół.

Ten uścisk dłoni poprawił znacznie atmosferę. Caroline wzięła widelec i ponownie zabrała się do jedzenia.

– Mówiłeś, że ci ludzie, którzy mają szklarnię, to twoi sąsiedzi. Czy mieszkają daleko?

– Alan Webb i jego żona? Nie, niezbyt daleko. Niecałe dwieście kilometrów stąd.

– Ach, te odległości w Australii! – wykrzyknęła. – Trudno mi pojąć, że ludzi mieszkających tak daleko można uważać za sąsiadów.

– To tylko kwestia przyzwyczajenia. Ja urodziłem się tutaj i dla mnie to zupełnie normalne. Dużo przestrzeni! To właśnie lubię. Nikt nie zagłada mi do talerza, nie muszę się

martwić, co myślą o mnie inni. Sam jestem sobie panem.

– Czy mieszkasz tu całe życie?

– Prawie. Kilka lat podróżowałem. Ale tu wyrosłem i serce moje należy do tej posiadłości. Kiedy dwa lata temu zmarł mój ojciec, miałem do wyboru: albo sprzedać to wszystko, albo wrócić i osiąść na stałe.

– A czy masz jeszcze jakieś inne zajęcie? – zapytała zaciekawiona Caroline.

– Tak – odpowiedział. – W Canberrze. Ale nie daje mi satysfakcji. Taka papierkowa robota.

– A konkretnie co robisz? Jesteś urzędnikiem w jakiejś instytucji państwowej?

– Coś w tym rodzaju. Podać ci musztardę?

– Tak, proszę. Powiedz mi, Adamie, gdzie się uczyłeś? Byłeś pewnie w szkole z internatem?

Uśmiechnął się figlarnie.

– Wyobrażasz sobie, jaki byłem zachwycony? Tego dnia, kiedy ojciec miał mnie odwieźć do Darwin na lotnisko, uciekłem do buszu. I pojawiłem się dopiero wtedy, kiedy byłem pewny, że nie zdążę na samolot.

– Do buszu? – Nie ukrywała zdumienia. – Do dzikiego, niebezpiecznego buszu? Ile lat wtedy miałeś?

– Dwanaście.

– Byłeś tam sam jeden?

– Niezupełnie. Był ze mną Danny Japulula. On miał wtedy jedenaście lat.

– I jak długo ukrywaliście się?

– Dziesięć dni.

– Dziesięć dni! Twoi rodzice pewnie szaleli z niepokoju!

– No, nie byli zachwyceni. Kiedy w końcu wróciłem, dostało mi się niezłe od ojca. Niewiele wygrałem, bo odwiózł mnie osobiście do szkoły podstawowej w stanie Wiktorii. Nigdy nie rezygnował z tego, co raz postanowił. Bardzo chciał, żebym zdobył dobre wykształcenie.

– No i z jakim skutkiem? – zapytała Caroline śmiejąc się.

– Zależy, jak na to spojrzeć. Nauczyciele starali się jak mogli, ale ze mnie niezły gagatek. Nigdy nie przepadałem za książkami. Wolałem jazdę konną, polowanie, latanie helikopterem.

Jakie to inne życie w porównaniu z moim – pomyślała Caroline.

– Jak wam się udało przetrwać w buszu? Wzięliście ze sobą jedzenie?

– Nie. Jedliśmy to, co udało się zdobyć. To nie było takie trudne. Danny to prawdziwy człowiek buszu, a poza tym jako dzieci wychowywaliśmy się wśród aborygenów. I wiele nauczyliśmy się od nich.

– Masz rodzeństwo?

– Brata i siostrę: Bruce i Rosemary. Oboje są młodszy ode mnie. Bruce jest prawnikiem i mieszka w Darwinie, a Rosemary z mężem mieszka niedaleko...

– Zaraz zgadnę – przerwała mu Caroline. – Jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów stąd?

– Dokładnie tyle! – uśmiechnął się.

– A czy twoja matka jeszcze żyje?

– Tak. Mieszka w Darwinie, ale często jeździ do Rosemary, żeby pobyć z wnukami. Nie rozpieszczała nas ani trochę i odbija to sobie na nowej generacji.

– To wspaniale – powiedziała Caroline z nutą smutku w głosie.

– A ciebie mama nie rozpieszczała?

– Skądże – odparła z lekkim grymasem na twarzy, próbując obrócić wszystko w żart. – Moi rodzice rozwiedli się, kiedy miałam cztery lata. Matka zostawiła mnie wtedy u babci, a sama wyjechała z aktualnym kochankiem. Moja babcia jest osobą małomówną i ma dwie pasje: kolekcjonowanie saskiej porcelany i utrzymywanie domu w nieskalanej czystości.

Wprowadzenie małej dziewczynki do domu pełnego kruchych cacek nie było najszczęśliwszym pomysłem. Bardzo szybko babcia oddała mnie do szkoły z internatem, a ja nie byłam na tyle sprytna, żeby uciec do buszu i odżywiać się jaszczurkami. Pomijając już fakt, że w pobliżu Belgravii nie ma ani buszu, ani jaszczurek.

– A ile wtedy miałaś lat?

– Siedem.

– Niektórzy rodzice traktują swoje dzieci w sposób karygodny – powiedział z gniewem Adam. – Czy widziałaś się jeszcze z matką?

– O, tak. Odwiedzała mnie, kiedy przyjeżdżała do Londynu w przerwie między swymi romansami. Z okazji moich dwudziestych pierwszych urodzin wydała wspaniałe przyjęcie. Ale nigdy nie żywiła uczuć macierzyńskich. Była piękną, lecz obcą kobietą.

– A ojciec? Czy on także nie interesował się tobą?

– Opłacał mój pobyt w szkole i jeśli był w Londynie, zapraszał do siebie na Boże Narodzenie. Czasem też spędzałam z nim tydzień wakacji. Ma posiadłość w Yorkshire.

– Jaki wspaniałomyślny! – wykrzyknął Adam. – Może moje poglądy są staromodne, ale uważam, że tacy ludzie nie powinni mieć dzieci. A ty co o tym myślisz? Czy nie chciałaś nigdy mieć męża i dzieci?

Zaskoczył ją tymi pytaniami. Odświeżały one bolesne wspomnienia. Caroline zawsze marzyła o dzieciach, ale Jeremi nawet nie chciał o tym dyszeć. A potem małżeństwo się rozpadło. Nie miała ochoty rozmawiać o tym z obcym człowiekiem.

– Miałam męża, ale to trwało krótko. Dzieci nie i było. Może to i dobrze, wzięwszy pod uwagę, ile znaczy dla mnie moja praca.

– Rozumiem. – Adam zamyślił się. – A więc to z tego powodu? I nie próbowałaś z nikim innym?

– Nie. Zależy mi dzisiaj tylko na karierze zawodowej.

– Nie powinnaś tak mówić. Jesteś jeszcze młoda i naprawdę śliczna. Założę się, że znalazłoby się wielu i mężczyzn, którzy chętnie ożeniliby się z tobą.

– Być może – odrzekła obojętnie Caroline. – Ale ja nie zamierzam ponownie wychodzić za mąż.

– Opowiedz zatem o swej pracy. Jesteś botanikiem, tak?

– Tak, studiowałam botanikę w Cambridge, a po uzyskaniu dyplomu dostałam pracę w Morrow Museum w Kensington i pracuję tam już sześć lat. Dwa lata temu zrobiłam doktorat.

– Co cię sprowadziło do Australii? Spędzasz tu urlop?

Caroline tylko na to czekała.

– Nie jestem tu na urlopie. Jest to w pewnym sensie wyprawa naukowa. Przyjechałam w poszukiwaniu pewnej rośliny.

– Jakiej rośliny?

– Nie ma nazwy, bo nie jest jeszcze naukowo opisana. Kwitnie co roku, przypomina lilie. Ma wąskie, długie liście i osiąga wysokość osiemdziesięciu centymetrów. Pomarańczowe kwiaty o średnicy dwóch centymetrów tworzą grona z trzech lekko skrzyślonych płatków i...

– Daj spokój! Powiedz to zwykłym językiem.

– Już mówiłam, że ma wygląd małej lilii z pomarańczowymi kwiatami o delikatnym, słodkim zapachu.

– Bardzo szczegółowy opis. Wygląda na to, że miałaś ten kwiat w ręku.

– Tak. Zbadałam kilka sztuk, ale zmarniały. Dlatego przyjechałam tutaj, żeby je odnaleźć.

– A do czego są ci potrzebne?

Caroline, zaabsorbowana własnymi myślami, nie zwróciła uwagi na jego żywe zainteresowanie.

– Jeden z moich przyjaciół, farmakolog, robił kliniczne próby na tych egzemplarzach, które miałam. Jeszcze za wcześnie na ostateczne wnioski, ale wydaje się, że ta roślina ma podobne właściwości jak małże z Madagaskaru, których używa się w leczeniu białaczki u dzieci. Jeśli sprawdzi się ta hipoteza, to być może uratujemy życie tysiącom dzieci.

Adam z powagą przyglądał się jej błyszczącym oczom.

– A jak zdobyłaś te kilka sztuk?

– To zawiła historia. Dwa lata temu zjawił się w naszym muzeum Michael Barclay, właściciel agencji handlującej dziełami sztuki. Sprzedał nam wtedy aborygeński rysunek na kawałku piaskowca. Przemili facet. Potem Terry Connor, zajmujący się właśnie sztuką aborygenów, w czasie oględzin znalazł jakieś nasionka w materiale, którym obraz był owinięty. A ponieważ wiedział, że jestem botanikiem, przyniósł je do mnie. Udało mi się wyhodować kilka tych roślinek. Zaczęłam przeglądać wszystkie możliwe prace naukowe na ten temat. Pomagał mi też mój przyjaciel farmakolog, John Burnett. Byliśmy bardzo podekscytowani, gdy analizy wykazały niezwykle właściwości lecznicze tej rośliny. Ale niestety, z niewiadomych powodów nie udało nam się uzyskać z niej nowych nasion. I wszystkie po kolei wymarły. Ciągłe zastanawiamy się, dlaczego. Adam zaśmiał się:

– Może gdybyś podpałała laboratorium, wyrosłyby lepiej.

– Co przez to rozumiesz? – zapytała zdziwiona Caroline.

Wstał, podszedł do ogniska i szczypcami do mięsa wyciągnął rozżarzony do czerwoności węgielek.

– Oto odpowiedź, Caroline. Ogień! Każdego roku w sierpniu i wrześniu setki piorunów wywołuje tu pożary, które obejmują ogromne przestrzenie. Wszystkie tutejsze rośliny musiały w taki czy inny sposób przystosować się do tego, a nawet dla niektórych ogień stał się niezbędny, żeby mogły wykiełkować ich nasiona. Taka jest pewnie tajemnica twojej ognistej lilii.

Caroline patrzyła na żarzący się węgielek, dopóki Adam nie wrzucił go z powrotem do ogniska.

– Oczywiście! Jakie to proste! – wykrzyknęła wreszcie z zachwytem. – Adamie, ty znasz tę roślinę? Tak?

Zawahał się na moment, ale ona patrzyła na niego z taką nadzieją w oczach.

– Tak – przyznał niechętnie.

– To cudowne! Zaprowadzisz mnie do tego miejsca, gdzie rośnie?

Była tak szczęśliwa, że dopiero po dobrej chwili zdała sobie sprawę, że Adam patrzy na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– Wybacz, Caroline – odpowiedział. – Nie pomogę ci. To ostatnia rzecz, jaką bym dziś zrobił.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przez kilka sekund Caroline milczała w osłupieniu. Wreszcie zdobyła się na pytanie:

– Ale dlaczego?

– Bo wyglądała to na wielką mistyfikację. Trzeba przyznać, że mówiłaś przekonująco. Pomóc dzieciom chorym na leukemię – czyż może być lepszy argument? Ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wymyśliłaś to kłamstwo na mój użytek.

– Z jakiego powodu miałabym cię tak okłamywać?

– zapytała pobladała Caroline.

– Jeżeli działasz w zмовie z Michaeliem Barclayem, to znajdzie się sto powodów. Może nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– W zмовie? – Caroline była zupełnie zbita z tropu.

– O czym ty mówisz?

– Nie udawaj przede mną niewiniątka! – krzyknął.

– Czy mam ci wierzyć, że naprawdę nie wiesz, kim jest Michael Barclay? Może on i jest, jak powiedziałaś, „przemitym facetem”, ale to oszust, złodziej i kłamca!

– Co takiego? Co to znaczy? Rozsierdzony Adam chwycił ją za ramiona.

– Ten rysunek, który sprzedał wam Michael Barclay, został skradziony ze świętego miejsca aborygenów, na moim terenie, dwa lata temu. Barclay zjawił się tu jako turysta, zdobył zaufanie aborygenów, którzy zaprowadzili go do swojego sanktuarium z sakralnymi malowidłami. Rozumiesz? Kiedy nikogo nie było w pobliżu, poszedł tam i piłą z diamentowym ostrzem wyciął duży kawał skały wraz z rysunkiem. Każde muzeum sztuki zapłaci za to setki tysięcy dolarów, ale dla aborygenów rysunek ten jest bezcenny i nie da się niczym zastąpić. Dotarliśmy śladami Barclaya aż do Darwinia, ale zdążył już odlecieć do Anglii. Przedtem widziano go w barze, gdzie chwalił się, że zrobił wspaniały interes. Nie dość na tym. Przysięgał, że wróci i zabierze pozostałe malowidła. Ostatnio doszły nas pogłoski, że znowu widziano go w Darwinie.

Caroline, która cały czas słuchała go w milczeniu, stwierdziła:

– Okropna historia. Ale co ma wspólnego ze mną? Adam rozluźnił uścisk ręki na jej ramieniu i odburknął:

– Nie wiem. Ale nie będę ryzykować. Kiedy cię pierwszy raz ujrzałem, pomyślałem, że jesteś głupią turystką, która zapuściła się w nieznaną, boczną drogę. Teraz się dowiaduję, że chcesz, bym zaprowadził cię tam, gdzie rośnie ognista lilia. A tak dziwnie się składa, że właśnie stamtąd całkiem blisko jest do sanktuarium aborygenów. Według mnie, to bardzo podejrzana sprawa. Michael Barclay doskonale wie, że jeśli się tu pojawi, to połamię mu kości. Ale niewinnie wyglądająca współniczka może za niego wykonać tę brudną robotę, prawda?

– Uważasz mnie więc za złodziejkę i kłamczuch?? – zapytała ze łzami w oczach.

– Nic podobnego. Tłumaczę ci tylko, że muszę być ostrożny, zanim wszystko się nie wyjaśni. Jeżeli nie przysłał cię tu Michael Barclay, to skąd, u licha, wiedziałaś, gdzie szukać

ognistej lili?

– Ależ nie wiedziałam! I dalej nie wiem. Terry Connor zakreślił na mapie granice obszaru, gdzie warto szukać tej rośliny. Winnamurra znalazła się w samym centrum. Ale to jeszcze nie znaczy, że jestem kryminalistką.

– Może okaże się, że jesteś absolutnie czysta, ale na razie nie pozwolę ci wałęsać się po moim terenie, w pobliżu skał z malowidłami. Musi się na to zgodzić tutejsze plemię aborygenów. Jest to plemię na pół koczownicze i trzeba poczekać ze trzy tygodnie, zanim wrócą ze swojej wędrówki. Proponuję więc, żeby Danny Japulula zawiózł cię do Darwin, gdzie zamieszkaś w hotelu. A gdy aborygeni wrócą, opowiem im o tobie i sami zdecydują, czy możesz wejść na ich teren. Ja tymczasem sprawdzę na policji, czy rzeczywiście nie masz żadnych powiązań z Michaeliem Barclayem. Zgadzasz się?

– Nie chcę jechać do Darwin. Nie zniosę takiego beczynnego siedzenia. Poza tym nie stać mnie na hotel.

– Ja zapłacę – zaofiarował się Adam.

– Nie chcę twoich pieniędzy i nie chcę tracić czasu w Darwinie.

– Zrozum. Pośpiech na nic się nie zda. Teraz mamy lipiec i twój kwiat właśnie kwitnie, ale nasiona będą dopiero w porze upałów, w sierpniu, a może nawet we wrześniu. Potem trzeba jeszcze poczekać, aż się wysypią. Nie ma sensu kręcić się w pobliżu i niepokoić tubylców. Jeśli jesteś uczciwa, plemię na pewno pozwoli ci wejść na swój teren.

– A ty nie możesz dać mi takiego pozwolenia? Przecież to twoja ziemia.

– Aborygeni uważają, że to nie ziemia jest własnością ludzi, lecz całkiem odwrotnie. I chociaż według prawa ja jestem właścicielem, szanuję ich tradycje i poglądy. Oni tak samo traktują swoje sanktuaria jak my kościoły lub groby bliskich ludzi. Nie powinnaś tam jechać bez ich zgody. Chyba że tak naprawdę chodzi ci o te rysunki.

– Wcale mnie one nie obchodzą! Przyjechałam tu, by odnaleźć ognistą lilię. Wszystko sprzyściło się przeciwko mnie: najpierw zepsuł się dzip, a teraz biorą mnie za międzynarodowego złodzieja dzieł sztuki. Ale ja się nie poddam!

– Dlaczego aż tak bardzo ci na tym zależy?

– Czy widziałeś kiedyś dziecko chore na białaczkę? – zapytała z płonącymi oczami.

– Nie, nigdy – przyznał niechętnie.

– A ja tak. Zobacz sam.

Wyciągnęła z kieszeni kolorową fotografię trzyletniego chłopca z całkowicie łysą głową, czupurną miną i figlarnym błyskiem w oczach. Usta jej drżały, gdy pokazywała zdjęcie Adamowi. Przez chwilę przyglądał się w milczeniu, a potem zapytał:

– Kto to jest?

– Mój synek chrzestny. Andrew Clive Mathieson. Leczone go chemoterapią prawie rok, ale nic nie pomogło. Umarł dwa dni przed Bożym Narodzeniem, rok temu.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę.

– Bardzo ci współczuję – rzekł krótko Adam.

– No cóż, nic już nie mogę zrobić dla niego. Ale są inne dzieci, Adamie, dla których może jedyną szansą jest ta ognista lilia. Teraz mam uczucie, że karygodnie tracę czas.

– Trzeba przyznać, że niełatwo się poddajesz.

Dobrze, Caroline. Skoro nie chcesz jechać do Darwina, pozostaje tylko jedno wyjście.

– Jakie?

– Wezmę cię ze sobą. Wybieram się na objazd swego terenu, co potrwa około dziesięciu dni. Muszę naprawić ogrodzenie od strony północnej. Potem pojedę na inspekcję moich stad bydła. To zajmie od dwóch do trzech tygodni. Danny da nam znać przez radio, kiedy wróci starszyzna plemienna. Co ty na to?

Caroline była kompletnie zaskoczona. Dwa tygodnie z Adamem Fletcherem? Obrzuciła wzrokiem jego piękną, silną, męską sylwetkę. Nagle ogarnęła ją fala pożądania, gorąco buchnęło na policzki.

– A nie mogę tu na ciebie zaczekać?

– Nie, nie możesz! – odpowiedział, patrząc na nią podejrzliwie. – Jeśli pracujesz dla Barclaya, to dał ci pewnie wskazówki, jak dojść do świętego miejsca, i wyruszysz tam, skoro tylko zniknę. Jeśli zaś jesteś Bogu ducha winnym botanikiem, to i tak nie można zostawić cię samej, bo masz za mało doświadczenia.

– Nigdzie się stąd nie ruszę... – zaczęła, ale Adam był nieubłagany.

– Masz do wyboru: albo jedziesz do Darwina, albo ze mną!

Zawahała się wpatrzona w jego przenikliwe, niebieskie oczy. W końcu zdecydowała się.

– Jadę z tobą.

– W takim razie musisz już iść spać. Wyruszymy wczesnym rankiem, kiedy jeszcze jest chłodno. – Przyjrzał się jej uważnie. – Dlaczego tak się denerwujesz? Czy coś cię niepokoi?

– N-nie – skłamała.

– Jeśli chcesz mnie oszukać, to nic dziwnego, że jesteś zdenerwowana. W przeciwnym razie nie masz się czego obawiać, Caroline. Z mojej strony nie spotka cię żadna krzywda. Obiecuję. Dobranoc – zakończył, całując ją lekko w policzek.

Idąc do swojego pokoju, Caroline czuła, że twarz jej płonie od tego zdawkowego przecież pocałunku. Gdy już się położyła, nie mogła zasnąć, cały czas myślała o Adamie. Widziała go znowu na wielbłądzie, kąpiącego się nago w jezioru, patrzącego na nią ze złością z powodu jakichś tam malowideł. To, co teraz czuła, było czymś nowym, nieznanym. Niczego takiego nie doświadczyła z mężem. Leżąc w ciemnościach, wróciła pamięcią do dnia, gdy spotkała po raz pierwszy Jeremiego.

Był to jeden z tych pięknych, słonecznych dni angielskiego lata. Złoty blask słońca padał na drzewa i krzaki okryte bujną zielenią liści i na różnobarwne łubiny, flrletki i kampanule, które swoją wonią wabiły gości spacerujących po ogrodzie ojca. Na starannie wystrzyżonym trawniku w centrum ogrodu druga żona ojca Caroline stała w cieniu dębów i kierowała całą uroczystością niczym policjant na skrzyżowaniu ulic. Jak co roku, urządziła w Monkton Hall przyjęcie. I tym razem ani kropla deszczu nie zakłóciła imprezy. Tylko gamoniowata osiemnastoletnia Caroline nie pasowała do tego otoczenia. Snuła się w dumie gości, oblewając się rumieńcem za każdym razem, gdy ktoś się do niej odezwał.

– Nie stój z taką głupią miną, Caroline! Rób coś!

– krzyknęła niecierpliwie Susan Faircroft, wciskając jej tace do rąk. – Podejdz do

Jeremiego Hetheringtona, przedstaw się, zaproponuj mu kieliszek wina. To ten ciemnowłosy facet, który rozmawia z twoim ojcem koło zegara słonecznego. Czarujący mężczyzna, makler z Londynu. No, rusz się!

W ten sposób, całkiem niespodzianie, pchnęła Caroline na ścieżkę prowadzącą do małżeństwa. Jeszcze teraz, po dziesięciu latach, ogarniał ją żal.

– Dlaczego skończyło się tak źle? – szepnęła. – Wtedy myślałam, że spełniają się wszystkie moje marzenia.

Susan nie myliła się: Jeremi był rzeczywiście czarujący. Choć miał już trzydzieści lat, całe popołudnie flirtował z nieśmiałą, niedoświadczoną Caroline i nawet pocałował ją ukradkiem w cieniu krzewów. Szepcząc czule słówka, zerwał kilka małych różyczek i wetknął w jej czarne włosy. Caroline była oszołomiona. Rówieśnicy nie zwracali na nią większej uwagi. Osiemnastoletnich chłopców onieśmiała jej chłodna elegancja, a nieśmiałość brali za oschłość. Pierwszy w życiu pocałunek uderzył dziewczynie do głowy jak wino. Noc po tym przyjęciu spędziła bezsennie, podniecona i rozgorączkowana, ściskając w rękach książkę z włożonymi między kartki różyczkami.

Nie była jednak tak naiwna, by oczekiwać, że wszystko nagle się odmieni jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. I dlatego zaskoczyła ją niespodziewana wizyta Jeremiego, który dwa miesiące później przyjechał do Cambridge i zaprosił ją na piknik. Nie miała oczywiście pojęcia, że był umówiony z inną dziewczyną, która w ostatniej chwili wystawiła go do wiatru. Ogromne wrażenie zrobił na niej wiklinowy kosz z szampanem, kanapkami i czekoladkami oraz bukiet kwiatów. Kilka godzin spędzonych w ciszy nad brzegiem rzeki, w cieniu wierzby, dokonało reszty. Zakochała się bez pamięci. Jeremi, zaintrygowany tym, że pozwoliła mu tylko na kilka pocałunków, zaproponował lunch w następną niedzielę. Zdecydowany był ją zdobyć.

Zajął mu to ponad dwa lata. Trudno było w to uwierzyć, ale Caroline miała bardzo staromodny pogląd na miłość, seks i małżeństwo. Użył całego swojego czaru, by złamać jej opór. Była jednak nieugięta. Przekonana, że seksualne współżycie pozamałżeńskie przyniesie jej tylko cierpienie, stawiała warunek: albo ślub, albo nic. Jeremi, opętany obsesją zdobycia tej chłodnej, posągowej piękności, nieoczekiwanie dla samego siebie skapitulował. Po dwóch latach od pierwszego spotkania zaręczyli się, a do zbliżenia doszło wreszcie w jej dwudzieste pierwsze urodziny.

Caroline oczekiwała, iż będzie to najcudowniejsze przeżycie. Tymczasem okazało się to całkowitą katastrofą. Matka wydała na ich cześć wspaniałe przyjęcie, a gdy odjechali ostatni goście, Jeremi zabrał Caroline do swojego mieszkania. Tutaj, nie dbając już o zachowanie pozorów, brutalnie zażądał od niej tego, co mu się zgodnie z prawem należało. Caroline, pamiętając, ile wypił tego wieczora, chciała wyjść z pokoju, ale zagroził jej drogę i bezceremonialnie rzucił na łóżko. To, co teraz nastąpiło, było istnym barbarzyństwem. Dziesięć minut później Caroline, rozpaczliwie szlochając, leżała z twarzą pod kocem, a Jeremi obrzucał ją obelżywymi wymówkami za jej oziębłość.

Najlepiej by było, gdyby od razu wtedy się rozstali. Ale Jeremi następnego dnia przyniósł kwiaty i gorąco przeproszał. Przekonywał ją, że wszystko się ułoży, gdy się do siebie

przyzwyczajają. Ale się nie ułożyło. Ich współzycie małżeńskie stało się piekłem. Wkrótce Jeremi zaczął pić, co tylko pogorszyło sprawę. Potem odszedł z jej najlepszą przyjaciółką, oznajmiając, że Caroline może za to winić tylko samą siebie i swoją oziębłość. Rok później byli już rozwiedzeni.

Początkowo Caroline płakała całe noce, przekonana, że Jeremi miał rację, że fiasko ich małżeństwa to jej wina. Ale po kilku miesiącach odczuła ulgę, że nie musi znosić złośliwości i brutalności męża. Rzuciła się w wir pracy, która nie pozostawiała jej wiele czasu na życie towarzyskie. Zatrudniona była w najlepszym muzeum londyńskim i miała wiele okazji poznania innych mężczyzn. Żaden z nich jednak nie wywarł na niej takiego wrażenia jak Adam Fletcher, który wdarł się w jej życie z siłą wybuchającej rakiety.

Sama była zdziwiona własną reakcją na jego obecność. Początkowo w ogóle nie przypadł jej do gustu. Ten twardy, rzeczowy i zakochany w swojej ziemi człowiek potraktował ją przy pierwszym spotkaniu wyjątkowo brutalnie. Ale gdy zrozumiała później, jak bliska była śmierci, inaczej oceniła jego reakcję. Warunki życia w interiorze wymagały odporności i twardości, a on umiał przecież być także miłym i dowcipnym człowiekiem. Mimo istniejących barier mogliby chyba zostać przyjaciółmi, gdyby nie ta idiotyczna historia z malowidłami. Zasypiając, Caroline zastanawiała się, czy zależy jej właśnie na przyjaźni z Adamem...

Obudziła się kilka minut po szóstej i wyszła na werandę. Niebo było nieskazitelnie niebieskie, bez jednej chmurki. W świeżym powietrzu nie czuło się jeszcze upału. Na dole Adam zaglądał pod maskę samochodu. Miał na sobie szorty w kolorze khaki, starą wojskową koszulę, wysokie skórzane buty i kowbojski kapelusz z szerokim rondem. Sprawdzał bagnetem poziom oleju. Gdy zorientował się, że Caroline na niego patrzy, zawołał:

– Chodź na śniadanie. Wyjeżdżamy za pół godziny. Caroline wzięła prysznic i ubrała się w rekordowym tempie. Zdażyła nawet pomalować usta, zanim zeszła do kuchni. Adam już przyrządzał coś w kuchence mikrofalowej.

– Masz tu płatki kukurydziane z mlekiem i sok pomarańczowy. Są też jajka na bekonie i racuszki. Na co masz ochotę?

– Na sok i płatki – odpowiedziała, siadając przy stole.

Za chwilę usiadł naprzeciw niej i zabrał się do pałaszowania trzech jaj z ogromną porcją bekonu. Sięgnął po dzbanek z sokiem pomarańczowym.

– Śliczna pogoda, prawda? – odezwał się wesoło. – W taki dzień człowiek cieszy się, że żyje.

Caroline obiecała sobie solennie, że skoro Adam zgodził się jej pomóc, ona postara się, by tej wyprawie towarzyszyła jak najlepsza atmosfera.

W dobrym humorze wyszła z domu, kierując się do dżipa, by wstawić tam swój bagaż. Z zaskoczeniem stwierdziła, że wewnątrz wozu całkowicie zawałone jest różnorodnym sprzętem. Były tam wielkie plastikowe pojemniki na wodę, kartony konserw, maty do spania, śpiwory, siekiery, sznury, skrzynka z narzędziami, apteczka pierwszej pomocy, lampa naftowa, kilka osmalonych menażek, zwój drutu kolczastego i ogromny motocykl.

– O Boże! Dużo tego wszystkiego!

– Tam nie ma żadnego sklepu i nie wolno o niczym zapomnieć – wyjaśnił wzruszając ramionami. – Wsiadaj, jedziemy!

Ruszyli wyboistą, czerwoną drogą, ocienioną zielonymi drzewami pieprzowca, zostawiając po lewej stronie biały bungalow. Minęli tworzące istny labirynt drewniane zagrody dla bydła. Czarnoskórzy mężczyźni w koszulach w kratę, dzinsach i kowbojskich kapeluszach uwijali się wśród stada krów, każdy z nich miał w rękach żelazo do znakowania bydła. Przenikliwa woń spalonej skóry i łąjna uderzyła nieprzyjemnie w nos. Caroline, krzywiąc się, powiedziała zdumiona:

– Tu chyba są setki krów!

– Tak, w tym roku mamy ich niemało – odpowiedział lakonicznie Adam. – W okresie od kwietnia do września masa roboty: spisywanie, znakowanie, przyjmowanie porodów i tak dalej. I trwa to praktycznie aż do pory deszczowej, do listopada.

– A więc chyba nie masz czasu na taką trzytygodniową wyprawę ze mną, prawda?

– Nie mam, ale przyznasz, że zostałem do tego zmuszony.

Zamilkła urażona. Rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu bezpieczniejszego tematu do konwersacji i zobaczyła tuzin aborygeńskich dzieciaków uwieszonych na drewnianej bramie i machających do nich rękami.

– Jak dużo osób tu mieszka?

– Dwadzieścia trzy. Nie, zaraz, Maisie Yunupingu urodziła w tym miesiącu synka, to znaczy, że dwadzieścia cztery. Na stałe pracuje u mnie pięciu parobków z rodzinami, a o tej porze, gdy krowy się cielą, zatrudniam dodatkowo ośmiu-dziesięciu. Czasem pracują też u mnie koczownicy.

– Twoja posiadłość jest ogromna, prawda?

– Około ośmiu tysięcy arów. Sporo z tym zachodu. Trzymaj się teraz dobrze, bo będziemy przejeżdżać przez zastawki dla bydła.

Caroline huczało w głowie, gdy wóz podskakiwał na leżących na ziemi belkach, uniemożliwiających bydłu ucieczkę z zagrody. Nagle znaleźli się na otwartej przestrzeni pod jasnym, błękitnym niebem. Tu i ówdzie na czerwonym podłożu widniały kępy srebrnoszarej trawy australijskiej i twarde jak skóra liście eukaliptusów. Caroline poprawiła się na siedzeniu, odetchnęła z ulgą i zaczęła podziwiać piękne widoki.

– Opowiedz mi o farmie. Od jak dawna należy do twojej rodziny?

Oczy Adama zabłysły i zaczął opowiadać:

– Mój pradziadek osiedlił się tu na przełomie wieków, ale nie odniósł szczególnych sukcesów. Wiele farm upadło z powodu grasujących chorób. W tropiku wielkim problemem są wszelkiego rodzaju pasożyty, a bydło, które wtedy sprowadzano, nie było przystosowane do tutejszych warunków. Mój dziadek nie miał funduszy na podreperowanie farmy i zajął się polowaniem na krokodyle w okręgu Arnhem. Dopiero ojciec sprowadził odpowiedni gatunek bydła, zwany bramińskim, który doskonale znosi upały i odporny jest na kleszcze. Spójrz, tam właśnie są te krowy.

Caroline zobaczyła stado zwierząt o złocistej sierści i długich uszach, pasące się w kępach gęstej trawy.

– Jakie śliczne! – wykrzyknęła z zachwytem.

– To rzeczywiście ładne zwierzęta. W ciągu ostatnich dwóch lat sprowadziłem dwieście pięćdziesiąt krów i dwadzieścia byków. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę miał jedno z największych stad w tym okręgu. I nie zniszczę przy tym środowiska naturalnego.

Caroline, obserwując jego błyszczące zapałem oczy i niezwykle wyraz twarzy, pomyślała, że ten człowiek, podobnie jak jego ziemia, jest nieugięty i twardy, a zarazem pełen tajemnic.

– Kiedy dojedziemy do miejsca, w którym chcesz rozbić obóz?

– Za trzy lub cztery godziny. Zaraz skręcimy z głównej drogi.

Przez kilka następnych godzin jechali bezdrożami, po wyboistym, nierównym terenie. Caroline była cała obolała od wstrząsów wozu na kamieniach lub w korytach wyschłych rzek. Straciła zupełnie poczucie kierunku. Bolała ją głowa, w gardle piekło od kurzu, ubranie kleiło się do spoconego ciała. Kiedy wreszcie Adam zatrzymał się pod ogromnym, rozłożystym drzewem gumowym, nad brzegiem małego jeziora, była mu ogromnie wdzięczna. Z trudem poruszając zdrtwiałymi nogami i rękami wygramoliła się z wozu. Od razu wyciągnęła i łyknęła dwie tabletki aspiryny. Adam spojrzał na nią i zapytał zaniepokojony:

– Dobrze się czujesz?

– Oczywiście. Zaraz ci pomogę.

– Daj spokój. Usiądź w cieniu i odpocznij trochę po podróży. W tym stanie będziesz mi tylko zawadzać.

Caroline powinna była się oburzyć, ale nic nie powiedziała, tym bardziej że Adam już wyjął składany fotelik i stół i ustawił je w cieniu eukaliptusa. Wydobył z turystycznej lodówki puszkę zimnej coca-coli i podał jej. Zanim wypła do końca, zdążył już przygotować gałęzie na budowę szałas.

– Nie chcesz odpocząć trochę i napić się czegoś? – zapytała.

– Nie teraz. Muszę najpierw to skończyć. Bardzo szybko zbudował całkiem zgrabny szałas z daszkiem dla ochrony przed słońcem. W ciągu dwóch godzin obozowisko było gotowe z najdrobniejszymi szczegółami, łącznie ze stanowiskiem do gotowania, które urządził w dole osłoniętym przed wiatrem. Obok przygotowany już był stos drewna na ognisko, biologiczny klozet z małym zielonym namiocikiem i prysznic zawieszony na gałęzi drzewa gumowego. Wreszcie Adam usiadł i wziął z lodówki puszkę zimnego piwa.

– Masz ochotę na lunch? – zapytał Caroline. Aspiryna już podziałała i Caroline również chciała coś zrobić.

– Zajmę się tym – powiedziała.

Bez słowa jedli przygotowaną przez nią szynkę i sałatę. Gdy Adam skończył jeść, oznajmił:

– Wezmę motocykl i pojadę naprawić ogrodzenie. Nie boisz się zostać sama przez kilka godzin?

– Ależ skąd! – odpowiedziała wesoło. – Rozejrzę się, co tam rośnie nad jeziorkiem.

– Dobrze. Ale patrz pod nogi. Nie ma tu krokodyli, ale za to są jadowite węże i trafiają się skorpiony.

Wężę! Skorpiony! Caroline gotowa już była prosić Adama, żeby wziął ją ze sobą. Adam obserwował ją z wyrazem rozbawienia w niebieskich oczach, jakby czytając w jej myślach.

– Na pewno poradzisz sobie? – zapytał z odrobiną złości.

– Nie martw się! Mam co robić.

– Doskonale! Zostawiam ci CB radio. Jeśli coś się będzie działo, przywołasz mnie i natychmiast wrócę. Będę nie dalej niż trzy kilometry stąd.

Przez pierwsze pół godziny sparaliżowana strachem Caroline ciągle spoglądała nerwowo na ziemię. Gdy jednak nie pojawił się żaden wąż ani skorpion, odważyła się na spacer nad jeziorem. Małą łopatką wykopała kilka rosnących tam roślin i zaniósła je do szałasów. Jedną z paproci wydała się jej szczególnie interesująca, włożyła ją więc do naczynia z wodą i zaczęła rysować.

Na dworze panował już niemiłosierny upał, ale w cieniu szałasów, z puszką zimnej wody mineralnej, było całkiem do zniesienia. Głośno grały cykady, w powietrzu unosiła się intensywna woń drzewa gumowego, niebo było kobaltowo-niebieskie. Caroline ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje się po prostu szczęśliwa.

Adam zjawił się przed samym zachodem słońca, pokryty kurzem i potem. Wypił zimne piwo i poszedł pod prysznic. Wrócił zupełnie odmieniony, w czystych drelichowych spodniach, koszuli w kratę, uczesany. Poczula subtelny zapach francuskiej wody po goleniu.

– A może i ty masz ochotę na prysznic? Nie pomyślałem o tym wcześniej.

– O tak, z przyjemnością!

Prysznic nie był niczym osłonięty, ale Adam nie zwracał na nią uwagi, zajęty ustawianiem piramidki drewna na ognisko. Caroline rozebrała się. Spodziewała się, że woda będzie zimna, ale słońce ogrzało ją wystarczająco. Kąpiel bardzo ją odświeżyła, mimo że w zbiorniku nie było zbyt wiele wody. Gdy ubrana wracała do szałasów, słońce już zachodziło w złotym i purpurowym blasku.

– Jakże to pięknie! – Zatrzymała się zachwycona, spoglądając na niebo.

– Tak, rzeczywiście pięknie – odparł Adam klęcząc przy ognisku i dorzucając drewna. – Między innymi dlatego tu wróciłem, żeby oglądać zachody słońca.

– Bardzo jesteś przywiązany do tego miejsca, prawda? – zapytała, siadając na turystycznym foteliku.

– Nie żyje się tu łatwo i nie każdy potrafi się przystosować, ale ja należę do tego kraju. W mieście duszę się, a tu czuję się wolny, tu wiem, że jestem panem swego losu.

Choć w słowach tych można było uchwycić odrobinę kpiny z samego siebie, jednak dziwnie wzruszyły one Caroline. Tylko człowiek przekonany o swej sile mógł mieć odwagę na zwiążanie swego losu z miejscem tak odległym od cywilizacji.

– Czy mogę pomóc ci w przygotowaniu kolacji?

– Poradzę sobie. Będzie mięso z rusztu i pieczone kartofle. Zaczęję je piec, gdy ogień przygaśnie, a popiół będzie odpowiednio gorący.

Słońce skryło się już za horyzontem, niebo stało się granatowe i powietrze wyraźnie się ochłodziło. Ogień wesoło potrzaskiwał i pomarańczowe iskry ulatywały do góry, gdy Adam poruszał patykami rozżarzone głośnie.

– Napijmy się czegoś, zanim jedzenie będzie gotowe – zaproponował.

Zniknął we wnętrzu szalasu i po chwili wrócił ze szklaneczką campari z wodą sodową, lodem i cytryną dla niej i szkocką whisky dla siebie.

Zachwycona Caroline popijała małymi łykami.

– Niesłychane! – szepnęła. – Jak ci się wszystko udaje!

– Jeśli się naprawdę chce, to można wiele zdziałać – zaśmiał się. – Całe popołudnie umierałem z pragnienia, należy mi się więc teraz coś dobrego.

– Jak poszło z ogrodzeniem?

Zaczęli gawędzić o tym, jak każde z nich spędziło popołudnie. Caroline pokazała mu swoje rysunki. Adam opowiadał, jak trudno jest upilnować bydło, by nie pogubiło się w okolicy Arnheim, na północy, w wielkim rezerwacie aborygenów, gdzie biały człowiek nie ma właściwie prawa wstępu, a tubylcy żyją ciągle jak w epoce kamiennej. Opowiadał też o ich wierzeniach i życiu codziennym.

– Wiesz, Adamie, jestem bardzo zadowolona, że tu przyjechałam – powiedziała pod koniec tej fascynującej rozmowy. – Teraz wiem, że to na pewno najciekawsza przygoda w moim życiu, bez względu na to, co mówiono mi przed wyjazdem.

– A co mówiono? – zainteresował się Adam.

– Że jestem absolutną wariatką, a wyprawa tutaj to strata czasu.

– Musiałaś jednak kogoś przekonać o celowości ekspedycji, bo nie dostałabyś na nią funduszy – zauważył.

– Nie dostałam żadnych funduszy.

– Naprawdę? Sama opłacasz koszty tej podróży?

– Tak, to wygląda na czyste szaleństwo – przyznała.

– Próbowалам uzyskać coś w kilku instytucjach badawczych, ale wszyscy uznali, że to zbyt ryzykowne. Sprzedałam więc samochód i trochę obligacji rządowych, które dostałam od matki, i wzięłam półroczny urlop bezpłatny. No i przyleciałam do Australii.

– Odważna z ciebie kobieta – powiedział Adam z szacunkiem w głosie.

– Bardzo się bałam. Nie przepadam za życiem pełnym przygód, ale choroba i śmierć mojego chrzestnego synka były dla mnie okropnym wstrząsem. Kochałam Andy’ego jak własne dziecko. Kiedy więc pojawiła się szansa zrobienia czegoś, podjęłam ją.

Adam patrzył na nią w zamyśleniu.

– Mówisz, że kochałaś go, jakby był twoim synem. A przedtem wyznałaś, że nie masz dzieci, bo najważniejsza jest dla ciebie kariera zawodowa. Czy nie ma w tym sprzeczności?

Caroline oblała się gorącym rumieńcem.

– Czy to takie ważne? – próbowała bronić się.

– Czy ważne? Wydaje mi się, że wiele można powiedzieć o ludziach, jeśli pozna się ich pragnienia. Właściwie dlaczego nie masz dzieci? Czy tylko z powodu pracy zawodowej? A może to sprawa twojego męża?

– Nie mówmy o Jeremim – Caroline podniosła głos. – To już skończone.

– Naprawdę? – sceptycznie zapytał Adam. – Na każdą wzmiankę o mężu w twoich oczach widać przerażenie. Tak wyglądają ludzie, którzy przed czymś uciekają. Czasami jest

to trudna do zapomnienia miłość, a czasem ból nie do zniesienia. W każdym wypadku oznacza to, że przeszłość nie została całkowicie przekreślona. I że może ona zniszczyć przyszłość.

– Spójrz, żar już jest chyba dobry. Caroline wołała zmienić temat.

Adam zaczął ją zapoznawać z zasadami gotowania w buszu. Pokazał, jak należy owijać kartofle w liście i wkładać do żaru, i jak przygotowuje się coś w rodzaju miejscowego chleba. W efekcie tego cała oblepiona była ciastem i śmiejąc się wesoło oboje przyznali, że lekcja raczej się nie udała.

– Nie nadajesz się na farmera – stwierdził Adam. – Idź, umyj ręce i pozwól to zrobić mistrzowi.

Wkrótce kartofle zaczęły smakowicie pachnieć. Adam pilnował steków, a Caroline przygotowywała sałatę. W pogodnym nastroju zasiedli do jedzenia. Caroline odzyskała reputację dobrej gospodyni domowej, kiedy nadeszła pora deseru. Adam mógł zaoferować tylko kompot brzoskwiniowy z puszki. Caroline zrobiła słodkie racuszki, a chociaż wyszły nieco grubsze niż należało, Adamowi smakowały nadzwyczajnie. Sięgając po szósty z kolei, z filuternym uśmiechem powiedział:

– Jem, bo nie chcę ci zrobić przykrości.

– Ty, kłamczuchu! – zawołała Caroline i zabrała mu talerz.

Ze śmiechem zaczął ją gonić wokół ogniska. Uciekała, trzymając talerz nad głową, ale Adam zaczął ją łaskotać i musiała się poddać.

– Przestań! Jestem okropnie wrażliwa na łaskotki. Przestań! Nie!

Nagle zrobiło się cicho. Talerz z racuszkami wylądował na ziemi, ale nie przejęli się tym wcale. Fala pożądania wstrząsnęła ciałem Caroline, aż zadrżały pod nią nogi. Odruchowo oparła się o Adama i zobaczyła, jak zmienił się na twarzy. Światło ogniska odbijało się w jego niebieskich oczach. Zanurzając dłonie w jej jedwabistych włosach, zaczął ją gwałtownie całować.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na zmysłowe, wręcz niebezpiecznie podniecające pocałunki Adama Caroline odpowiadała namiętnością, która ją samą zaskakiwała. Objęła go za szyję i całowała gorąco. Drżała na całym ciele. Dotknięcie jego ręki i narastające napięcie, jakie w nim odgadywała, rozbudzało w niej nieodparte pożądanie. Nagle jakiś wewnętrzny głos odezwał się w niej alarmująco: Nie bądź idiotką, Caroline!

Z jękiem odepchnęła go od siebie.

– Nie gniewaj się... – powiedziała z trudem. – Nie mogę...

– Czy wywołuję w tobie aż taki wstręt? – spojrzał na nią z rozdrażnieniem.

Wstrzymując łzy, usiłowała znaleźć właściwe słowa:

– To nie o ciebie chodzi! To ja... w przeszłości zdarzyło się coś... To nie ma nic wspólnego z tobą, Adamie!

– Pewnie chodzi o twojego drogiego męża, Jeremiego! – z wyraźną złośliwością powiedział Adam.

– Tak! – załkała Caroline całkiem roztrzęsiona.

– Dlaczego z nim nie zerwiesz? – zapytał brutalnie Adam. – Czy ty go zostawiłaś, czy on ciebie?

– Puść mnie! – jęknęła. – Sprawiasz mi ból.

– Odpowiedz! – potrząsnął nią, zbliżając twarz.

– Porzucił mnie!

– Dlaczego? – spytał twardo i bezlitośnie.

– Odszedł z moją najlepszą przyjaciółką – odpowiedziała załamującym się głosem i wybuchnęła płaczem.

– A ty dalej kochasz tego drania, tak? Caroline, łkając, z trudem chwytając oddech. Przez chwilę gotowa była wyznać całą żalosalną prawdę, ale to było zbyt świeże, bolesne i poniżające. Niech lepiej sądzi, że odgadł przyczynę jej oporu. Może wtedy zrezygnuje z niej, a ona jakoś sobie poradzi ze swoimi uczuciami.

– Tak – odpowiedziała stłumionym głosem. A potem powtórzyła gwałtownie: – Tak! Tak! Kocham wciąż Jeremiego!

Adam nachylił się i niespodziewanie pocałował ją. Potem odsunął Caroline na długość ramion i zaglądając w jej pełne łez szare oczy, powiedział ze złością:

– Nie bądź głupia! Czyż nie rozumiesz, że taki mężczyzna nie jest wart twoich łez? Zapomnij o nim i zacznij nowe życie!

– Nie mogę! Po prostu nie mogę!

I było w tym dużo prawdy. Wreszcie spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała błagalnym głosem:

– Adamie, zrozum, to byłby wielki błąd z naszej strony, gdybyśmy to teraz zrobili. Czy nie rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem. – Skrzywił się w odpowiedzi. – Widzę natomiast, że czujemy do

siebie wielki pociąg fizyczny, a ty nie chcesz tego przyjąć do wiadomości. To nie ma sensu. Jesteśmy przecież oboje wolni, prawda?

– Chyba masz rację – przyznała z rozpaczą. – Ale to nie znaczy, że musimy ulegać namiętności. Czy możesz mi obiecać, że mnie więcej nie dotkniesz, kiedy tu będziemy razem?

Uniósł jej podbródek do góry i zaczął ją znowu całować. Mimo zdenerwowania odczuwała tak samo intensywnie zmysłowy, drażniący dotyk jego warg. Czując w całym ciele narastające pożądanie, jęknęła cicho. Wtedy Adam oderwał się od jej ust.

– Nie mogę ci dać takiej gwarancji, Caroline – mruknął ponuro. – Życie nie jest takie proste. Jedno ci obiecuję. Cokolwiek ma się zdarzyć między nami, nie będę tego przyśpieszał. A teraz postaram się, żeby ta wyprawa w busz była dla ciebie możliwie najciekawsza.

I dotrzymywał słowa w ciągu następnych dwóch tygodni. Każdy dzień przynosił nowe wspaniałe wrażenia i Caroline cieszyła się nimi bardzo, gdyby nie ustawiczne napięcie emocjonalne. Nigdy w życiu nie była w takiej sytuacji. Nawet w najgorszych chwilach, po sprzeczkach z Jeremim, pojawiali się inni ludzie, dzięki którym można było zapomnieć o doznanych przykrościach. Tu nie było nikogo. Ani listonosza, ani posłańca ze sklepu. Tylko ona i Adam na tym rozległym, dzikim pustkowiu. Jakby cała ludzkość w tajemniczy sposób zniknęła z planety. Miała poczucie całkowitej zależności od niego.

Przez kilka dni Adam był bardzo zajęty, śpieszył się, żeby jak najszybciej zakończyć reperację ogrodzenia. Potem już cały czas poświęcał Caroline. W ciągu dnia zwiedzali okolicę pieszo i dżipem, a na noc wracali do obozowiska. Adam zawiózł ją do wąwozu w górach, gdzie wodospady spływały do nasłonecznionych jezior, a zbocza porośnięte były gęstymi paprociami. Wdrapywali się na poszarpane urwiska, pełne głazów jak w kamieniołomie, a niebo nad nimi było tak oślepiająco błękitne, że patrzenie na nie przyprawiało o ból oczu. Pokazał jej śródłądowe rzeki, gdzie na bagnistych brzegach wylegiwały się w słońcu krokodyle. Któregoś niezapomnianego dnia pojechali na oddalone ponad pięćdziesiąt mil wybrzeże i spacerowali długą, piaszczystą plażą w Zatoce Carpentaria.

Adam uczył ją, jak rozpoznawać szarozieloną sosnę australijską rosnącą na piaszczystych wydmach, której obecność świadczyła o istnieniu podziemnych źródeł wody. Jak znajdować wśród trzciny małe jadalne, jak wykopywać z czerwonej ziemi jadalne mrówki, jak z nasion trawy zrobić pożywny posiłek. Wkrótce miała w głowie prawdziwy zamęt od szczegółowych informacji na temat łososi, leszczy, żółwi morskich, kaczek, dzikich gęsi, dzikich śliw, australijskich orzechowców, różnych korzonków i jagód. Robiąc zdjęcia, zużyła wszystkie filmy, zapisała też trzy notesy. A każdego wieczora, po powrocie z wędrówek, podziwiała zmieniający barwy krajobraz – od jaskrawej żółci do intensywnej czerwieni – i słuchała nie kończących się opowieści Adama. Raz były to aborygeńskie legendy, kiedy indziej dowcipne anegdoty o różnych najdziwniejszych ekscentrykach, rozsianych po najdalszych zakątkach kraju.

Caroline trudno było zachować obojętność, gdy co rano Adam całkowicie nagi kąpał się pod prysznicem, nie skrępowany jej obecnością. Nie mogła powstrzymać się od ukradkowych

spojrzeń. Podziwiała jego zgrabną, opaloną i silną sylwetkę. Choć udawało się jej zachować narzuconą przez rozum obojętność, ciało, wbrew jej woli, kierowało się własnymi pragnieniami.

Coraz częściej zadawała sobie pytanie, dlaczego nie jest żonaty. Bardzo niewiele mówił o sobie. Mimo wrodzonej nieśmiałości zapytała go któregoś wieczora, czy miał jakiś poważniejszy romans.

– Nic specjalnego. – Skrzywił się i zmieniając temat zaczął mówić o najlepszym sposobie pieczenia jaszczurki.

Caroline, nie usatysfakcjonowana tą lakoniczną odpowiedzią, czuła coraz większą potrzebę przełamania jego chłodnej rezerwy. Jednego natomiast była całkowicie pewna: ani trochę nie zmniejszył się ich pociąg fizyczny. Niejednokrotnie Adam obejmował ją i całował w szyję, gdy zmywała naczynia, i wtedy zawsze dreszcz pożądania wstrząsał nią całą. Nie zdradzała się jednak niczym i dopiero pod koniec wyprawy zdarzyło się coś, co roznieciło ogień z tłącej się podskórnymi iskry.

Podczas tych dwóch tygodni Caroline tak często kąpała się w skalnym jezioru w pobliżu obozu, że zapomniała już o swoim strachu przed krokodylami. Jednakże Adam w dalszym ciągu siadywał na straży z karabinem w ręku. Któregoś razu wyszła ociekając wodą na brzeg i sięgnęła po leżący na ziemi ręcznik. Odwrócona plecami do Adama wytarła twarz i mokre włosy. Nagle usłyszała szybko wypowiedziane, ostrzegawcze słowa:

– Stój spokojnie, Caroline! W żadnym wypadku nie odwracaj się i nie cofaj. Za tobą jest jadowity wąż.

Z przerażenia omal nie zemdląła. Bała się, że za sekundę upadnie na groźnego gada. Adam zaś ochryłym głosem mówił do niej uspokajająco:

– Jesteś dzielna, kochanie. Nie ruszaj się. Stój spokojnie. Idę do ciebie.

Wyteńczyła słuch: żadnego szmeru, ani odgłosu kroków Adama. I nagle usłyszała dziwny, złowieszczy szelest za plecami. Serce podskoczyło jej do gardła. Wstrzymała oddech. Aż wreszcie z wielką ulgą usłyszała ciche kroki kilka metrów od siebie.

– W porządku, teraz postaw ostrożnie prawą nogę i powoli, bardzo powoli odwróć się do mnie.

Z przerażeniem zobaczyła Adama leżącego na ziemi z wężem, owiniętym jak spirala wokół ręki. Wąż miał około dwóch metrów długości i był miedzianej barwy. Adam dwoma palcami ścisnął jego płaski łeb, uderzając weń wolną ręką i nucąc jakąś dziwną melodię, pod wpływem której gad wił się z wysuniętym, drgającym językiem. Caroline odetchnęła z ulgą. Przecież Adam nie trzymałby w ręce jadowitego węża.

– Idź do dżipa i przynieś gruby worek i sznurek. Przejdź koło mnie bardzo spokojnie, nie biegnij.

Caroline na drżących nogach przeszła obok lśniącego, brązowego gada.

– Dobrze. A teraz trzymaj worek otwarty szeroko, najszerszej, jak możesz, a ja będę go tam wsuwał. Nie bój się, nie ugryzie cię, bo unieruchomiłem mu głowę.

Dwa razy wąż wyślizgiwał się, zanim Adamowi udało się wcisnąć go całego. Jednym szybkim ruchem mocno zawiązał worek i odrzucił go daleko w krzaki.

– Brrr! – powiedział cicho. – Na szczęście już po wszystkim. Zaniosę go potem gdzieś dalej od obozowiska i wypuszczę w buszu. Dobrze się czujesz? Jesteś taka blada.

– W pierwszej chwili pomyślałam, że to wąż jadowity – przyznała się – ale uspokoiłam się, gdy zobaczyłam, że trzymasz go w ręce.

– Z przykrością muszę cię rozczarować – powiedział Adam z wymuszonym uśmiechem.
– Powinnaś jednak wiedzieć na wypadek, gdybyś natknęła się na to po raz drugi. To była kobra.

– Kobra? – powtórzyła przerażona Caroline. – Przecież... przecież to najbardziej jadowity wąż na świecie...

– Zgadza się. Jego ukąszenie powoduje paraliż układu nerwowego. Umiera się po dwóch godzinach, jeśli nie zostanie zrobiony zastrzyk z surowicy.

– A ty go trzymałeś! Dlaczego?

– Nie miałem wyboru – odpowiedział bezbarwnym głosem. – Byłaś tak blisko, że bałem się strzelać.

– Dlaczego tak ryzykowałeś? – krzyknęła z rozpaczą.

– Mogłeś umrzeć! I co wtedy stałoby się ze mną?

– Nic by się nie stało – odpowiedział spokojnie. – W obozowisku jest dużo jedzenia, a Danny Japulula przyjechałby za kilka dni i zabrałby cię.

– Nie o to mi chodzi! – krzyknęła Caroline.

– Myślałam o tobie... O Boże, jaki jesteś szalony!

– Straciła zupełnie panowanie nad sobą.

– A to co takiego? – zapytał Adam, biorąc ją w objęcia. – Chyba nie płaczesz? To nie było nic poważnego.

Szlochając i szepcząc coś niewyraźnie wtuliła twarz w szorstki materiał koszuli Adama. Zarzuciła mu ręce na szyję i wydusiła przez łzy:

– Nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało!

– Miło mi to słyszeć. – Uśmiechnął się. – Chodźmy do ogniska, zrobię ci kawę.

Ale Caroline przytuliła się jeszcze mocniej do niego i powiedziała błagalnym tonem:

– Nie odchodź.

Zawahał się i spojrzał na nią uważnie.

– Przeżyłaś wielki szok. Musisz się położyć i odpocząć.

Caroline przymknęła oczy, gdy niósł ją przez polanę do obozowiska. Ciągle jeszcze nie mogła zapomnieć o przeżyтым niebezpieczeństwie. Adam zaniósł ją do szałas i ułożył na łóżku.

– Nie odchodź – poprosiła. – Nie zostawiaj mnie samej.

Z pociemniałymi od pożądania oczami wyciągnęła do niego ręce. Z westchnieniem usiadł na brzegu jej łóżka.

– Sam już nie wiem – powiedział ochryple – czy jesteś tak niewiarygodnie niewinna, czy przeciwnie – tak zepsuta.

– O co ci chodzi?

Adam położył się obok niej i szeptem zapytał:

– Czy nie rozumiesz, że sama pakujesz się w kłopoty? Jeśli zostanę, będę całować każdy centymetr twojego ciała. Doprowadzę cię do takiego stanu, że będziesz wić się z pożądania i będziesz błagać, bym przestał. Ale ja nie przestanę. Bo chcę cię mieć całą, Caroline Faircroft. Aż się nasycę tobą do końca. Rozumiesz teraz?

Wiedziała, że jego słowa są obraźliwe, ale wiedziała też, że spowodowane były szaloną, nieopanowaną namiętnością, która w każdej chwili mogła wybuchnąć płomieniem.

– No wiec? Zrozumiałaś?

– Tak – powiedziała szybko.

– Chcesz tego właśnie?

Chciała powiedzieć „tak”, ale wargi odmówiły jej posłuszeństwa. Twarz Adama była tak blisko, że czuła jego przyśpieszony oddech. Niezdecydowana wyciągnęła rękę, by odsunąć go od siebie.

– Nie chcę – wychrypiała.

Uniósł ją z lekka do góry i zanurzając ręce w jej ciemnych, potarganych włosach, szepnął:

– Caroline, mała czarownico!

A potem zaczął ją całować. Caroline nie wyobrażała sobie nawet, że pocałunki mogą być takie zmysłowe. Najpierw delikatnie całował jej usta, ramiona, szyję, a potem coraz zachłanniej, gwałtowniej, namiętniej. Odpowiadała mu równie namiętnie, czując gorący, drażniący dotyk jego dłoni na całym ciele. Palcem pieścił jej twardniejącą brodawkę. Z cichym jękiem wyprężyła się i mocniej przywarła do niego. A on uśmiechnął się przebiegle i językiem zaczął wodzić po jej piersi.

– Cudowny smak – mrucał. – Słodkie jak miód. Mógłbym cię tak zjeść całą, wiesz?

Nagle powoli, drażniąco przesunął językiem niżej, w dół brzucha. To było całkowicie nieznane jej uczucie. Szarpnęła się, ale unieruchomił ją silnym uściskiem.

– Adamie, nie możesz... – zaprotestowała słabo. Spojrzał w jej rozgorączkowane oczy, na rumieńce na policzkach. Uśmiechnął się triumfalnie. Był w tej chwili pewien swojej przewagi nad nią.

– Nie mogę? – mruknął. – Nic mnie już teraz nie powstrzyma, moja maleńka.

Przymknęła oczy, mając wrażenie, że ulatuje gdzieś, jakby porwana trąbą powietrzną. Nie pomniejszała tej przyjemności świadomości, że Adam jej nie kocha, a tylko zaspokaja swoją żądzę. Nic się nie liczyło, tylko ta nieodparta, dręcząca, a zarazem cudowna tęsknota za jego ustami. Przyciskała do siebie coraz mocniej jego głowę. Nagle narastające do granic wytrzymałości napięcie wybuchło w niej gorącą eksplozją.

– Boże! Adamie! – krzyknęła.

Przez dłuższą chwilę leżała w jego objęciach, oszołomiona przeżyta ekstazą. Gdy otworzyła wreszcie oczy, zdezorientowana mrokiem panującym w szalasię nie mogła się zorientować, gdzie się znajduje. Słyszała jeszcze szum krwi w uszach i niespokojne bicie serca. Aż nagle zobaczyła klęczącego nad nią Adama.

– Od początku byłem przekonany, że jesteś namiętną kobietą, Caroline. Ale nie spodziewałem się aż takiego wybuchu. Teraz moja kolej.

Ucałował wnętrze jej dłoni i rozkazał:

– Rozbierz mnie.

Wstrząsnął nią dreszcz, który mógł być spowodowany strachem, napiętnością lub wstrętem. A może wszystkim tym naraz? Ale Caroline nie wycofała się. Powoli zaczęła rozpinąć koszulę Adama, patrząc mu cały czas w oczy. Poglądziła palcami opaloną, gładką jak jedwab skórę. Przez chwilę bawiła się włosami na jego piersi. A potem nieśmiało przesunęła ręce niżej. Zadrżał. Owładnęło ją niezwykle podniecające poczucie władzy nad nim. Czy to możliwe, żeby i ona mogła doprowadzić Adama do zapierającej dech, niczym nie opanowanej ekstazy? A potem Adam pogłaskał ręką jej ciemne włosy i dotknął ust pieszczotliwym gestem.

– Jeszcze trochę i nie odpowiadam za siebie. Tak, moja mała czarownico. Nic już nie jest w stanie cię uratować.

W dalszym ciągu klęczał nad nią. Teraz uniósł ją za ramiona do pozycji siedzącej i skierował jej rękę do paska swoich spodni.

– Rozepnij – rozkazał.

Zadrżała, ale nie ze strachu – z niecierpliwości. Jednym ruchem odpięła klamrę.

– Adamie...

Zerwał się na nogi i zrzuciwszy szorty stał teraz przed nią nagi, dumny, nieprawdopodobnie męski.

– Do diabła, Caroline – powiedział urywanym głosem. – Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo cię pragnę.

Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować, a ona instynktownie szukała schronienia w jego objęciach. Rozbudził w niej na nowo pożądanie. Zapomniała o wszystkich lękach, mogła nareszcie stać się prawdziwą kobietą, zdolną do kochania i cieszącą się miłością.

– Pocałuj mnie, Caroline – ponaglił ją Adam. – Chcę, byś doprowadziła mnie do szaleństwa, tak jak ja to zrobiłem z tobą.

Wahała się tylko przez sekundę, a potem, biorąc głęboki oddech, jak dzika kotka zwinnym ruchem przełożyła przez niego nogę. Jej bujne włosy kaskadą opadły na twarz Adama. Wyprostowała się, rozmyślnie wolno kładąc się na nim.

– Och, jak cudownie – zamruczał Adam. Zniknęły wszystkie jej niepokoje. Ciepła, radosna fala rozlewała się po całym ciele. Jesteś wspaniałą, Adamie – pomyślała. – Pokazałeś mi, czym może być spełnione pożądanie.

W szalacie słysząc było tylko okrzyki i nierówny oddech obojga. Adam nie był już w stanie dłużej czekać.

– Czy jesteś gotowa?

– Tak, tak! – dyszała ciężko z pożądania. Spojrzała do góry i zobaczyła niebieskie oczy Adama, pociemniałe i dziwnie obce. I nagle, w jednej sekundzie, jak w koszmarnym śnie, znikła twarz Adama. Na jej miejscu pojawiła się twarz Jeremiego, rozwścieczonego, pijanego, zdecydowanego ją upokorzyć. Zesztywniała. Kiedy odważyła się spojrzeć na Adama, w nim także zaszła zmiana. W jego wzroku nie było już niecierpliwego oczekiwania, ale podejrzliwość i uraza.

– Co się stało? – zapytał. – O co chodzi? Może znów myślałaś o Jeremim?

Zamarła z przerażenia. Patrzyła na niego bez słowa, niezdolna wydobyć z siebie głosu. Potrząsnął nią brutalnie.

– Gdzie byłaś myślami? – Najwyraźniej nie panował nad sobą. – Odpowiadaj!

W jej szeroko otwartych oczach znów widział strach i wstręt. Próbowала coś powiedzieć, ale z jej gardła wydobył się tylko jakiś nieartykułowany dźwięk.

– Odpowiedz mi, do cholery! Myślałaś o Jeremim?

– Tak – wykrztusiła w końcu.

– Ubieraj się! Wracamy do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Caroline i Adam jechali do Winnamury w ponurej, napiętej atmosferze. Obozowisko zostało zlikwidowane w wariackim tempie, a cały sprzęt wrzucono do dzipa bezładnie, jak popadło. Co gorsza, Adam wyładowywał swoją złość w czasie drogi, wjeżdżając z ogromną szybkością na kamieniste pagórki i równie szybko z nich zjeżdżając, tak że Caroline poważnie obawiała się, czy ujdą z tego z życiem. W chwilach, gdy nie rzucało jej gwałtownie na przednią szybę, ani nie wciskało w siedzenie, próbowała znaleźć jakiś sens w tym, co się zdarzyło między nimi. Musiała przyznać, że doznała wielkiego rozczarowania, a nie ulgi, kiedy Adam tak nagle z niej zrezygnował.

Chciałaby wytłumaczyć mu wszystko. Ale jak przyznać się do tego, że Jeremi zniszczył doszczętnie jej wiarę w samą siebie i możliwość udanego związku z kimkolwiek? Czyż nie powtarzał wielokrotnie, że nie była zdolna do odczuwania miłości ani do dawania rozkoszy innym? Teraz zaczynała mieć wątpliwości, czy nie miał racji. Co stałoby się, gdyby doprowadzili sprawę do naturalnego końca? Czy nie rozczarowałyby straszliwie Adama?

Gdy dojechali czerwoną, zakurzoną drogą do zagród z bydłem i jeden z pastuchów głośno ich pozdrowił, Adam wyskoczył z wozu z uśmiechem na twarzy. Po kilku minutach wsiadł z powrotem do dzipa i zawiózł ją do domu. Trzasnąwszy głośno drzwiczkami obszedł samochód dokoła i stał z rękami w kieszeniach obserwując, jak Caroline wysiada. Widocznie jego dobre maniere i uprzejmość przeznaczone są dla innych ludzi, nie dla niej.

– Wejdz do środka, wykąp się i przebierz – powiedział rozkazującym tonem. – Czeka na mnie dużo pracy. Przyjdz o dziewiątej rano do mojego gabinetu. Są sprawy, które musimy przedyskutować.

Caroline ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak odchodził w stronę zabudowań gospodarskich, nawet nie obejrzawszy się na nią. Nawet policzek nie upokorzyłby jej bardziej. Całym swoim zachowaniem dawał jej do zrozumienia, że on tu jest szefem, a ona ma być mu posłuszna. Z ciężkim sercem weszła wolno schodami na górę.

W drodze do łazienki zastanawiała się, czy Adam, którego boleśnie zraniła, będzie na tyle mściwy, by udaremnić jej odszukanie lilii. A może nawet zażąda, by natychmiast opuściła Winnamurę?

W czasie kąpieli zapomniała o swoich troskach. Ale po umyciu włosów powróciła znowu do przykrej rzeczywistości. Przetarła ręką zaparowane lustro i wpatrywała się przez chwilę w odbicie swoich smutnych, szarych oczu. Westchnęła i powiedziała do siebie:

– Nie mogę stąd wyjechać. Nie chcę wyjechać. Jeśli wyjadę, będę straszliwie za nim tęsknić.

Nagle przeraziła się własnych myśli. Oto ona, dwudziestoosmioletnia kobieta, rozwiedziona, niezależna, odnosząca niewątpliwe sukcesy w pracy zawodowej, ulega sentymentalnym bzdurom jak spragniona miłości nastolatka.

To nie Adama będę żałować, próbowała się bronić.

Żal mi będzie przede wszystkim projektów związanych z ognistą lilią.

Twarz w lustrze zareagowała sceptycznym uśmiechem.

– Kogo oszukuję? – jęknęła. – Oczywiście, że najważniejszy dla mnie jest Adam.

Pograżona w myślach weszła do sypialni. Czego właściwie oczekuje od niego? Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że główną rolę odgrywał pociąg fizyczny. A może jest w nim zakochana? Poprzednim razem została tak brutalnie pozbawiona iluzji, że nie bardzo wiedziała, co to słowo znaczy. Gdy poznała Adama Fletchera, po raz pierwszy od rozvodu gotowa była na bolesne ryzyko nowego związku. Czyż nie byłoby cudownie poznać Adama lepiej, spędzać z nim cały czas w atmosferze intymności, przyjaźni i zaufania?

Tymczasem nie pozostawało nic innego, jak czekać ranka. W uszach dźwięczały jeszcze ostre słowa: „Są sprawy, które musimy przedyskutować”. Nietrudno było się domyślić, o czym będzie ta dyskusja.

Mimo twardego postanowienia, że zachowa zimną krew, Caroline z bijącym sercem otworzyła rano drzwi gabinetu Adama.

– Wejść – powiedział spokojnym głosem.

– Dzień dobry – przywitała go niepewnie i usiadła w fotelu. Adam z drugiej strony biurka patrzył na nią zimnym, taksującym wzrokiem.

– Przypuszczam, że chcesz, żebym wyjechała. Dlaczego to powiedziałam? – pomyślała z rozpaczą.

– W ten sposób dałam mu wolną rękę! Ale Adam nie śpieszył się z odpowiedzią. Zagadkowo uśmiechnięty, przyglądał się jej przymrużonymi niebieskimi oczami. Zapadła dręcząca cisza.

– Nie – odezwał się w końcu. – To byłaby śmieszna reakcja w tak banalnej sytuacji.

„Banalna sytuacja!” Caroline zaczerwieniła się z oburzenia. Nazywał banalnym to, co miało dla niej tak wielkie znaczenie. Z wysiłkiem opanowała drżenie rąk.

– Dobrze byłoby, żebyś wyjechała, ale przekonałaś mnie, jak ważna jest sprawa ognistej lili. Mogę ci zaproponować tylko jedno.

– Co takiego?

– Wyjedziemy stąd razem. Na jakiś czas. Caroline zabrakło tchu. Pogardliwy ton Adama uraził ją boleśnie.

– Planujesz kolejną wycieczkę do buszu? – zapytała złośliwie.

– Nie. Nie planuję. Pozwól sobie powiedzieć, moja ślicznotko, że nie zamierzam kochać się z tobą, gdy ty z zamkniętymi oczami będziesz marzyć o swoim drogim mężu. Pojedziemy na tydzień do Canberry.

– Do Canberry? – Nie mogła ukryć zdumienia.

– Tak, do Canberry. To stolica tego kraju. Chyba o tym słyszałaś?

– Oczywiście, że tak! – zawołała. – Ale dlaczego właśnie tam? To chyba ze trzy tysiące kilometrów!

– Powiem ci, dlaczego. Tam nie będziemy musieli ciągle wchodzić sobie w drogę. Sądzę, że będziemy bezpieczniejsi, nie narażeni na pokusy. Zgadzasz się ze mną?

– Ale dlaczego Canberra?

– I tak powinienem tam pojechać w różnych sprawach.

– Jakie to sprawy? – nie ustępowała.

– Muszę spotkać się z ministrem przemysłu w sprawie deficytu w naszym handlu – odpowiedział Adam najspokojniej w świecie.

Przez moment Caroline patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Nie wygłupiaj się! A cóż ty masz z tym wspólnego?

– No tak, żaden minister nie będzie tracił czasu na rozmowy z takim kowbojem z buszu jak ja. Załóżmy więc, że chcę się zobaczyć z kilkoma moimi starymi przyjaciółmi, z którymi kiedyś pracowałem. Jedziesz ze mną czy nie?

– A czy mam wybór?

– Oczywiście. Jeśli wolisz, możesz wrócić do Anglii. Ale jeśli nadal zależy ci na ognistej lilii, to pojedziesz ze mną tam, gdzie będziesz pod moim czujnym okiem.

– Zgadzam się – poddała się Caroline. – A jak się tam dostaniemy? To chyba za daleko na przejażdżkę samochodem?

– Polecimy. Mam własny mały samolot. Dostaniemy się nim do Alice Springs, a stamtąd regularną linią do Canberry.

– Czy to znaczy, że masz licencję pilota?

– Mam. I nie gap się tak na mnie. U nas jest to rzeczą całkiem normalną. Jak posiadanie prawa jazdy.

Caroline dalej jednak wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Od czasu, kiedy zobaczyła Adama na wielbłądzie, miała go raczej za koczownika. Ciekawe, czym jeszcze ją zaskoczy?

Zdumiała się jeszcze bardziej, gdy następnego ranka spotkali się w holu hotelu w Alice Springs. Zamiast zwykłej starej koszuli, wysokich butów i kowbojskiego kapelusza z szerokim rondem, Adam miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę i niebieskoszary krawat. Był gładko uczesany i starannie ogolony. W ręku trzymał teczkę. Przez ramię miał niedbale przerzucony elegancki prochowiec. Caroline nie wierzyła własnym oczom.

– Ledwie cię poznałam!

– No cóż, nie chciałem, żebyś się mnie wstydziła w Canberrze – mruknął. – Tym bardziej że sama wyglądasz tak czarująco.

Caroline pomyślała, że chyba z niej kpi. Włożyła jedyną sukienkę, jaką z sobą miała, tę w niebiesko-rdzawe kwiaty.

– Nie ugotujesz się w tym ubraniu? – zapytała. – Na dworze jest chyba ponad trzydzieści stopni ciepła.

Adam uśmiechnął się, ukazując białe zęby.

– Gorąco jest tam, w tropikach, ale nie w Canberrze. Czy już zapomniałaś, że mamy teraz środek zimy?

– Tak, rzeczywiście – przyznała zmieszana. – A ja nie mam nawet płaszcza.

– Nie martw się. Kupię ci przy okazji. Otworzyła usta, żeby zaprotestować.

– Nie chcę, żebyś zamarzła na śmierć. Będziesz potrzebowała także długiej sukni

wieczorowej. Zabieram cię jutro na kolację z kilkoma moimi przyjaciółmi.

W tym momencie nadjechała ich taksówka i Caroline nie mogła się dłużej sprzeczać. Kiedy jednak znaleźli się już w samolocie, zaczęła się zastanawiać, do czego potrzebna jest jej wieczorowa sukienka i co ma oznaczać ta kolacja z przyjaciółmi Adama. Czy są to hodowcy bydła czy jacyś drobni urzędnicy? Rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku Adama, a on odpowiedział jej ironicznym uśmiechem. Zaczęła podejrzewać, że swoim zwyczajem stroi sobie z niej żarty. Podejrzenie to zmieniło się w pewność, gdy na lotnisku w Canberze powitał ich szofer w szarym, rządowym uniformie.

– Dzień dobry panu, panie Fletcher – powiedział przykładając rękę do czapki. – Miło pana znowu widzieć.

– I mnie również miło cię widzieć, Alf – odpowiedział Adam z serdecznym uśmiechem. – Z Alfem znamy się od dawna, Caroline. Pracowaliśmy w tym samym departamencie. Ładnych parę lat temu. Alf, to jest pani doktor Caroline Faircroft z Morrow Museum w Londynie.

– Dzień dobry pani – powiedział uprzejmie szofer. Caroline nie mogła wyjść z podziwu, jak Adam to zorganizował. Biedny, poczciwy Alf straci pewnie pracę, jeśli ktoś zauważy go wiozącego swoich przyjaciół służbowym wozem. Ale żart sam w sobie jest niezwykle, trzeba to przyznać.

Alf ułożył walizki na wózku bagażowym i zaprowadził ich do czarnej, lśniącej limuzyny, stojącej przed budynkiem.

– Dokąd jedziemy, sir? – zapytał, ułożywszy już wszystko w bagażniku.

– Zrobimy szybką rundę po mieście – polecił Adam. – A potem zawieź nas do jakiegoś pasażu handlowego w centrum. Doktor Faircroft musi kupić ciepłe ubranie. Po zakupach pojedziemy do domu.

Podczas jazdy Caroline z ciekawością wyglądała przez okno. Adam miał rację co do pogody. Gdy przechodzili z ogrzewanej hali przylotów do samochodu, owionęło ich zimne, rześkie powietrze.

W mieście pozostawiono część dawniej rosnących tu lasów, a wzdłuż ulic ciągnęły się trawniki z europejskimi drzewami, toteż miało się wrażenie, że jest to jeden ogromny ogród. Alf z dumą pokazał nowy gmach Parlamentu, Pomnik Ofiar Wojny, jezioro Burley Griffin i inne godne uwagi miejsca. Kiedy dojeżdżali już do centrum, zapomniał jakby trochę o należnym dygnitarzowi szacunku i zapytał Adama:

– Jak myślisz, jaki będzie wynik meczu pomiędzy Hawthorn a Collingwood w najbliższą sobotę? Stawiam dziesięć dolarów na Hawthorn.

– Coś ty! – zaśmiał się Adam. – Według mnie, nie mają żadnych szans. Żal mi cię, bo tylko stracisz forszę, Alf.

– Akurat! Po prostu wolisz nie ryzykować. Taka jest prawda – odparł Alf. – Czy mam się tu zatrzymać?

Zaparkował samochód i usadowił się wygodnie z gazetą w rękę, podczas gdy Adam z Caroline poszli do centrum handlowego. Caroline odważyła się zapytać:

– Adamie, czy Alf nie będzie miał żadnych kłopotów?

– Co masz na myśli? – spojrzał na nią ostro.

– Przecież to rządowa limuzyna, prawda?

– Tak – odpowiedział ze zdziwieniem.

– Alf jest naprawdę szoferem?

– Oczywiście.

– Słuchaj – mówiła dalej Caroline z przejęciem. – Rzeczywiście udał się wam ten żart. Alf spotkał nas na lotnisku i zachowywał się tak wobec ciebie, jakbyś naprawdę był dygnitarzem, który przyjechał z oficjalną wizytą. Ale czy to dla niego nie skończy się źle?

– A ty byś, oczywiście, nigdy nie uwierzyła, że mogę być dygnitarzem, prawda? – zapytał Adam, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

– No pewnie! Nie jestem taka głupia! A poza tym, nie zakładałbyś się przecież ze swoim szoferem o wynik meczu futbolowego!

– Jesteśmy w Australii – przypomniał jej. – Australijczycy nie są tacy oficjalni. Ale w pewnym sensie masz rację, Caroline. W głębi serca jestem na pewno bardziej kowbojem niż nieskazitelnie ubranym urzędnikiem. No, idziemy kupić ci płaszcz.

Nieco skrępowana weszła z nim do małego butik z elegancką odzieżą męską i damską. Przywitała ich z królewską godnością czarująco uśmiechnięta wytworna blondynka. Adam zaczął jej coś wyjaśniać, a Caroline tymczasem oglądała wystawione na stojakach piękne sukienki. Zauważyła jednak, że nie miały metek z cenami. Zaniepokojona podeszła do Adama.

– Co się stało? – Wstał, zmarszczywszy brwi. – Nie podobają ci się?

– Nie o to chodzi. Nie mam tyle pieniędzy – szepnęła.

– Nieważne. Mówiłem ci już, że ja płacę. Jak ci się podoba ta?

Podał jej suknię z niebieskiej tafty, z dekoltem w kształcie litery „V”, przymarszczoną górą i z bufiastymi rękawami. Caroline patrzyła na nią z nie ukrywanym zachwytem. W tym kolorze byłoby jej świetnie. Poszła do kabiny, żeby ją zmierzyć. Gdy pojawiła się po chwili, Adam przerwał pogawędkę ze sprzedawczynią i obrzucił ją krytycznym wzrokiem.

– Nieźle – stwierdził. – Bierzemy. A co sądzisz o tym płaszczu na manekinie w oknie wystawowym?

– Ale... – zająknęła się Caroline.

– Daj spokój. – Adam zerknął na zegarek. – Nie mogę tracić tu całego dnia.

Oczarowana jego wyniosłymi manierami sprzedawczyni pośpiesznie zdjęła płaszcz z manekina.

Pięć minut później wsiadali do samochodu obładowani pakunkami.

– Jedziemy do domu, Alf – powiedział Adam.

– Co to znaczy „do domu”? – zapytała szeptem. – Masz tu dom?

– Tak – odpowiedział obojętnym tonem. – Mieszkałem przez jakiś czas w Canberrze. A kiedy kilka lat temu zrezygnowałem z pracy, postanowiłem zatrzymać ten dom, który przydaje mi się teraz podczas moich wizyt w mieście. Poza tym jest to dobra lokata kapitału.

– Nie boisz się, że podczas twojej nieobecności ktoś się tam włamie?

– Słuszne pytanie. Mieszka tam mój stary przyjaciel ze szkoły, który w interesach często

przyjeżdża do Canberry. Nazywa się Mark Sloane. Miły gość. Zaprosiłem go jutro na kolację.

Był to ładny piętrowy budynek, zajmujący wraz z ogrodem ponad tysiąc metrów powierzchni i sąsiadujący z obu stron z rezydencjami zagranicznych ambasadorów. Caroline weszła za Adamem do wyłożonego drewnem holu z ogromnym lustrem w pozłacanej ramie, ze stylowymi szafami i dwiema wysokimi wazami chińskimi z epoki Ming.

– Jakie piękne! – wykrzyknęła zachwycona.

– Mnie się też podobają – przyznał. – Musiałem je mieć, wzięwszy pod uwagę charakter mojej pracy. Urządzenie domu zleciłem specjalistom.

– A na czym polegała twoja praca?

– Często przyjmowałem gości – odpowiedział krótko. – Ale skoro już mowa o pracy, to muszę już iść. Mam ważne spotkanie o czwartej po południu, a potem kolację o ósmej. Wrócę więc dopiero przed północą. Dasz sobie radę beze mnie?

– Myślę, że tak. Ale co...

– Wychodzę – uciął Adam. – Aha! Byłbym zapomniał. Kupiłem ci jeszcze coś do ubrania. Masz, łap!

Rzucił jej trzy torby, z których wypadły na podłogę swetry, żakiety, spodnie, bluzki i wełniane spodnice. Zaskoczona Caroline uknęła, żeby je pozbierać, i żałośnie jęknęła:

– Nie stać mnie na to wszystko! Dlaczego kupiłeś bez porozumienia się ze mną?

– Jeśli coś ci nie odpowiada, możesz wymienić, ale nie oddać, bo nie przyjmą. Do zobaczenia, kochanie.

Zanim zdążyła zaprotestować, już wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi. Caroline pozbierała porozrzucone po podłodze rzeczy i przeszła do salonu. Był to duży, słoneczny pokój, z głębokimi skórzanymi kanapami, rzeźbionymi chińskimi stolikami, niskimi lampami na podstawkach o orientalnym ornamentem i z mnóstwem najprzeróżniejszych roślin doniczkowych. Usiadła na sofie z pięknym obiciem i położywszy obok siebie torby, głośno powiedziała:

– Nie rozumiem nic z tego, co tu się dzieje. Co w takim domu może robić Adam Fletcher?

Taki dom, pełen stylowych mebli, dzieł sztuki, półek zawałonych książkami mógł należeć tylko do człowieka wykształconego, kulturalnego, nie zaś gburowatego kowboja z buszu. A może to dom Marka Sloane'a?

Rezygnując z rozwiązania tej zagadki, postanowiła zwiedzić cały dom. Do salonu przylegała doskonale wyposażona kuchnia, za nią znajdowała się jadalnia ze stołem na dwanaście osób, gabinet z komputerem i faxem oraz duża, piękna łazienka. Na górze były jeszcze dwie łazienki i pięć sypialni. W jednej z nich widać było ślady czyjejś niedawnej obecności: jakieś rozrzucone foldery, marynarka wisząca na krześle, album z fotografiami na komódce. W pokoju sąsiednim, w którym zobaczyła buty do konnej jazdy i kapelusz kowbojski, z pewnością sypiał Adam. Caroline wprowadziła się do trzeciego, wolnego pokoju.

Zmęczona wrażeniami całego dnia, zjadła wczesną kolację złożoną z jajecznicy i sałaty. Przejrzała potem w salonie kilka broszurek o Canberrie i poszła spać. Około pierwszej w

nocy obudził ją warkot limuzyny Alfa, a w godzinę potem odbijające się w szybie światła innego samochodu. Nie wiadomo, czym zajmują się Adam i jego przyjaciel, ale wracają późno.

Mimo to, gdy o ósmej rano zeszła do kuchni, zastała już tam Adama ogolonego i ubranego. Czytał jakąś gazetę bankową. Spojrzał na nią i powiedział:

– Ślicznie wyglądasz.

Caroline zaczerwieniła się lekko. Niezbyt chętnie włożyła jedwabną bluzkę, niebieską plisowaną spódnicę i rozpinany niebiesko-rdzawy sweter – wczorajsze prezenty od Adama.

Jakby odgadł myśli Caroline, stwierdził z drwiącym uśmiechem:

– Widzę, że jednak rozsądek wziął górę.

Siłą powstrzymała się, żeby nie powiedzieć mu czegoś do słuchu.

– Nie odgryziesz się? Co zamierzasz dzisiaj robić, jeśli wolno zapytać? Zwiedzać miasto, robić zakupy?

– Chciałabym spotkać się z którymś z tutejszych botaników. Ale nie wiem, jak to zorganizować. Może powinnam zadzwonić na uniwersytet?

Adam podał jej wyjętą z kieszeni kartkę.

– Spodziewałem się tego. To nazwisko i numer telefonu mojego starego przyjaciela, Patricka Edmundsona. Jest profesorem w Australijskim Uniwersytecie Państwowym, specjalistą w dziedzinie botaniki australijskiej.

– Dziękuję – mruknęła, dziwiąc się w duchu, skąd Adam ma takie znajomości.

– A ty znowu zastanawiasz się, gdzie taki niedouczony kowboj mógł poznać profesora botaniki – zauważył Adam, najwyraźniej rozbawiony. – Pomogę ci rozszyfrować zagadkę. Otóż w czasie studiów mieszkaliśmy w tym samym hotelu uniwersyteckim, chociaż uzyskaliśmy inne stopnie naukowe.

Zamiast zaspokoić, pobudził tylko ciekawość Caroline. Nigdy nie podejrzewałaby, że studiował na uniwersytecie. Jakie jeszcze kryje przed nią tajemnice?

Widząc jej zdumienie, Adam roześmiał się:

– Jestem człowiekiem o wielu talentach, Caroline. Umiejętność naprawiania ogrodzenia i znajomość hodowli bydła to tylko dwa z nich. Jestem niezwykle zręczny w wykrecaniu numerów telefonicznych, jeśli więc oddasz mi tę kartkę, zadzwonię do Pata i spróbuję was umówić.

Dwie minuty później, odkładając słuchawkę, oznajmił:

– O wpół do dziesiątej na wydziale botaniki. Kończ śniadanie, zawiozę cię.

– Nie ma potrzeby... – zaczęła, ale jej przerwał.

– Pat może ci poświęcić tylko godzinę. Przyjadę po ciebie o wpół do jedenastej i pokażę ci centrum miasta.

Nie czekając na jej odpowiedź, zagłębił się z powrotem w swojej gazecie. Caroline patrzyła na niego oszołomiona.

Kiedy o wpół do jedenastej wyszła z gabinetu Pata Edmundsona, Adam pił kawę, gawędząc z sekretarką. Na widok Caroline wstał natychmiast i powiedział coś cicho do dziewczyny, która stała cała w pąsach.

– Jak poszło? – zapytał Caroline.

– Wspaniale! – odpowiedziała z rozpromienioną twarzą. – Profesor Edmundson jest rzeczywiście wielkim znawcą botaniki, a przy tym orientuje się doskonale w różnych przepisach. Może być mi niezwykle pomocny. Zainteresował się ognistą lilią. Bardzo ci dziękuję, że mnie z nim poznałeś.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział z uśmiechem, widząc jej entuzjazm.

Gdy tylko znaleźli się na dworze, nie mogła się powstrzymać i zatańczyła z radości na ścieżce, a potem wokół brzozy o srebrnym pniu. Adam przyglądał się temu, kiwając głową.

– Przepraszam – szepnęła. – Już wracam na ziemię.

– Nie musisz – powiedział dziwnym głosem. – Wyglądasz czarująco, kiedy tak bujasz w obłokach.

Caroline stanęła i spojrzała na niego uważnie. Pomyślała, że z niej kpi, ale przeczyło temu ciepło bijące z jego niebieskich oczu. Serce jej drgnęło. Na moment poczuła się wytrącona z równowagi.

– O co chodzi? – zapytał.

– Nigdy nie wiem, co ci przyjdzie do głowy – poskarżyła się. – Myślałam, że mnie nienawidzisz.

– I ja tak myślałem – przyznał, wzruszając ramionami. – Widocznie myliliśmy się oboje. Nieważne. Od czego chcesz zacząć zwiedzanie?

Zmieniwszy tak nagle temat rozmowy, stał się znowu dla niej tylko uprzejmym gospodarzem. Caroline ponownie doznała wrażenia, że nudzi go jej towarzystwo.

– Słuchaj, nie zwracaj sobie mną głowy. Poradzę sobie sama.

– Och, nie ma o czym mówić – powiedział łaskawie i wzięwszy ją pod ramię, zdecydowanym krokiem poprowadził do samochodu stojącego na parkingu.

W czasie przejażdżki Caroline stwierdziła, że całe miasto jest niezwykle zadbane i czyste. Łatwo mogła sobie wyobrazić jego mieszkańców, jak wieczorami wychodzą na ulice z nożycami do przystrzygania krzewów i szczotkami do szorowania chodników. Z trudem koncentrowała się na podziwianiu uroków miasta, na które zwracał jej uwagę Adam: błyszcząca w zimowym słońcu tafla wody jeziora, nowe budynki Parlamentu z wysokimi metalowymi masztami na flagi, fascynująca różnorodność ambasad, zbudowanych w stylu danego kraju, wielokątny budynek Muzeum Narodowego.

– Czy chcesz zobaczyć Ogród Botaniczny? A może jest za zimno?

– Nie, jedźmy tam.

W Ogrodzie Botanicznym było rzeczywiście zimno, ale przejrzyście niebieskie niebo i jaskrawe słońce znakomicie to rekompensowały.

– Lubię australijskie powietrze – powiedziała, wdychając je z widoczną przyjemnością. – Czuje się w nim zapach eukaliptusów. Pewnie ci tego brakuje, gdy wyjeżdżasz za granicę? –

– Tak, tęsknię wówczas za Australią. Kiedy przez kilka lat pracowałem w Chinach, specjalnie jeździłem do pewnej małej wioski, gdzie była plantacja drzew gumowych. Zatrzymywałem samochód i wdychałem ich zapach.

– W Chinach? A co tam robiłeś?

– To i owo – odrzekł wymijająco. – Dziś nie mam już z tym nic wspólnego.

– Dprowadzasz mnie do rozpacz – poskarżyła się znowu. – Wyciągnąłeś ode mnie wszystko o moim dzieciństwie, małżeństwie, pracy. A o sobie mówisz niewiele. Opowiadałeś mi o szkole i o planach rozwoju gospodarstwa w Winnamurze. Ale pomiędzy jednym i drugim jest ogromna luka. Tak jakby nie liczyło się dla ciebie nic, co nie ma związku z Winnamurą.

– Jest w tym dużo prawdy – przyznał zamyślony.

– Ale dlaczego tak się tym przejmujesz?

– Nie wiem – odpowiedziała zirytowana. – Mam wrażenie, że się przede mną zamykasz, że nie życzysz sobie mojej przyjaźni, że bym, broń Boże, nie oczekiwała czegoś od ciebie.

– Chyba masz rację – powiedział po namyśle.

– Choć nie myślę o tym w taki sposób. Nie lubię mówić o przeszłości. Należę do tych, którzy patrzą przed siebie i nie oglądają się wstecz. Byłoby dobrze, gdybyś i ty tak postępowała.

– Myślisz o Jeremim?

Nagle potknęła się i omal nie upadła, ale Adam szybko złapał ją za ramię i powiedział cicho:

– Tak, myślę o nim.

Zwrócił jej twarz ku sobie i bardzo delikatnie pocałował w usta. Serce Caroline zatrzepotało nieprzytomnie. Spojrzała w jego oczy – niebieskie i chłodne jak to niebo ponad ich głowami. Z uczuciem radości pomyślała, że te słowa mogą oznaczać tylko jedno – że wybaczają jej przeszłość i chce przyszłości z nią. Westchnąwszy głośno, uśmiechnęła się niepewnie.

– Sądzisz, że to takie ważne, że bym zapomniała o przeszłości?

– Myślę, że to teraz dla ciebie najważniejsze – odrzekł Adam.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Alf przyjechał po nich wieczorem, na dworze był przejmujący chłód. Na granatowym, mroźnym niebie błyszczały jasne gwiazdy. Caroline z wielką niecierpliwością czekała na tę chwilę, zastanawiając się przez cały dzień, jaką grę prowadzi z nią Adam. Chociaż w Ogrodzie Botanicznym zgodził się, że powinni się nawzajem lepiej poznać, odmówił dalszych wyjaśnień na temat swojej osoby, chcąc, jak to określił, pozostać nadal nieco tajemniczym. Na wszelkie pytania o przeszłość odpowiadał:

– Moi przyjaciele wkrótce ci wszystko wyjaśnią. Gdy przejeżdżali koło jeziora Burley Griffin, Caroline zapytała:

– Dużo będzie ludzi na kolacji?

– Nie. Łącznie z nami pięć par.

– A co to za ludzie?

– Po prostu moi przyjaciele. Wkrótce ich zobaczysz.

– Jesteśmy na miejscu, sir – powiedział Alf znowu oficjalnym tonem, zatrzymując się przed jasno oświetlonym budynkiem. – Lakeside Hotel.

Wyskoczył szybko z samochodu, otworzył drzwiczki od strony Caroline i pomógł jej wysiąść. Potem stanął obok z szacunkiem, czekając, aż wysiądzie również Adam.

– Życzę państwu miłego wieczoru, sir – powiedział. – Czy mam czekać?

– Nie, nie trzeba – odpowiedział Adam. – Na kolacji będzie pan Sloane i on nas odwiezie do domu.

W drzwiach budynku powitał ich portier w liberii:

– Dobry wieczór, panie Fletcher, dobry wieczór, doktor Faircroft. Pański ulubiony stół z widokiem na jezioro już czeka, ale może wolą państwo najpierw wstąpić na drinka do Sali Lawsona? Czy mogę wziąć płaszcze?

Recepcjonista poprowadził ich korytarzem wyłożonym grubym dywanem. Zapukał do drzwi i wszedł do środka.

– Doktor Caroline Faircroft i pan Fletcher, panie ministrze.

Minister? – zdumiała się Caroline, wchodząc do pokoju. – Co to ma znaczyć?

Rudowłosy mężczyzna w wieku Adama wstał na ich powitanie ze skórzanego fotela.

– Cześć, Adamie. Co słychać u ciebie, chłopie? Potem odwrócił się do Caroline i serdecznie potrząsnął jej ręką.

– Jak się masz, Caroline? Jestem starym przyjacielem Adama, mam więc nadzieję, że wybaczysz mi ten nieoficjalny ton. Mark Sloane. Jestem ministrem handlu. A to jest Priscilla Townsend, moja asystentka.

Wysoka, bardzo zgrabna brunetka w czerwonej, obcisłej sukni odstawiła kieliszek na barek i poruszając się z wdziękiem podeszła do nich.

– Witaj, Caroline – podała jej rękę.

I choć zwróciła się do Caroline, nie czekała na jej odpowiedź, nie spuszczając oczu z Adama. Caroline zauważyła, że Adam zacisnął szczęki, a na jego skroni zadrgał jakiś nerw.

Wspinając się na palce, Priscilla pocałowała go od niechcienia w policzek.

– Cześć, kochanie – zatrajkotała. – Spodziewałam się ciebie najwcześniej za dwa tygodnie. Czyżbyś się znudził w swoim buszu?

– Nie – odpowiedział Adam. – Ale jestem zaskoczony twoją obecnością. Myślałem, że jesteś w Indonezji.

– Byłam, kochanie. Wróciłam dziesięć dni temu.

– Caroline, masz ochotę na drinka? – zaproponował Adam.

– Poproszę o dżin z tonikiem – mruknęła. Poczwała się okropnie niezręcznie, tak jakby nagle stała się świadkiem rodzinnej awantury, nie orientując się zupełnie, o co chodzi. Napotkała pełne sympatii spojrzenie Marka Sloane'a.

– Od dawna znasz Adama, Marku? – zapytała.

– Od ponad dwudziestu lat. Mieliśmy po dwanaście lat, kiedy rozpoczęliśmy naukę w tej samej szkole średniej.

– Szkoła! – prychnęła Priscilla. – Nie mówcie przy mnie o szkole! Chodziłam do doskonałej szkoły w Surrey, w Glanville Towers. Pewnie o niej słyszałaś, Caroline? Uchodziła w Anglii za najlepszą szkołę dla dziewcząt, a nie pamiętam, żeby choć raz podano tam przyzwoite jedzenie.

– Jesteś Angielką? – zapytała zdziwiona Caroline.

– Broń Boże! – roześmiała się Priscilla. – Ludzie często tak myślą z powodu mojego akcentu. Spędziłam tam osiem lat. Nie, jestem Australijką, ale mój tata był dyplomatą. Nie można przecież co trzy lata gdzie indziej ciągnąć swoich dzieci, prawda?

– Prawda – niezbyt grzecznie odpowiedział Adam, podając Caroline drinka. , – No tak, dlatego też i Adam zrezygnował ze służby dyplomatycznej. Dość miałaś tych podróży, prawda, stary? – odezwał się Mark.

Oniemiała Caroline omal nie upuściła kieliszka z zimnym napojem.

– Tak. Spędziłem jedenaście lat w służbie dyplomatycznej – odpowiedział Adam, spoglądając na Priscillę wzrokiem pełnym wściekłości.

Zdumiona Caroline nie zdążyła dowiedzieć się niczego więcej, bo uwagę wszystkich zwróciło jakieś zamieszanie przy drzwiach. Wszedł pracownik hotelowy i oznajmił:

– Minister przemysłu, pan Brophy z żoną. Pan Kasihiro Toyama i pani doktor Judith Wallace. Państwo Pritchard.

Caroline osłupiała. Na czele grupy osób wkroczył do pokoju dostojnie wyglądający mężczyzna o srebrno-siwych włosach. Przez następnych kilka minut witała się ze wszystkimi, podawała rękę, a w głowie jej szumiało od informacji na temat Ministerstwa Handlu i cen mięsa w Tokio. Adam rozmawiał wesoło z nowo przybyłymi, a jego zdenerwowanie z powodu obecności Priscilli znikło bez śladu. Caroline nie miała wiele czasu na dalsze rozważania. Siedziała teraz na wygodnej sofie i gawędziła z panią Pritchard o jej letnim domu na Majorce. Kątem oka dostrzegła Adama, rozmawiającego z ożywieniem z panem Toyamą. Nie dowierzając własnym uszom stwierdziła, że rozmowa prowadzona była w języku japońskim.

– Pójdę chyba porozmawiać z innymi, moja droga – powiedziała pani Pritchard wstając. –

Bardzo miło się z panią gawędzi. Przy następnej bytności w Canberrze musicie z Adamem przyjść do nas na kolację. Rob bardzo sobie ceni Adama. To czarujący człowiek, a jego znajomość problemów zagranicznych jest wprost niezwykła.

Caroline nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo właśnie zaproszono wszystkich do stołu, do sąsiedniej sali restauracyjnej.

Menu najwyraźniej obmyślane było tak, żeby zaprezentować najlepsze smakołyki australijskie. Po wędzonym łososiu z Tasmanii i frutti di mare podano zupę jarzynową, następnie, jako główne danie, zapiekane homary i krwisty stek z bukietem jarzyn, a na deser dużo soczystych, tropikalnych owoców, tacę z najprzeróżniejszymi gatunkami serów i kawę. Do każdego dania serwowano wspaniałe wina australijskie.

Caroline była wszystkim zachwycona: zarówno wspaniałym jedzeniem, jak i błyskotliwą konwersacją. Zauważyła też, że Priscilla pije trochę za dużo wina i próbuje flirtować z Adamem. Adam jednak wydawał się być całkowicie zajęty rozmową z panem Toyamą. Gdy przyjęcie dobiegło końca i wszyscy wstali, żeby opuścić salę restauracyjną, Caroline dostrzegła porozumiewawcze spojrzenie, jakie wymienili pomiędzy sobą Judith Wallace i minister przemysłu.

A potem, gdy znaleźli się w foyer hotelu, Judith z uśmiechem zaproponowała:

– Szkoda kończyć tak miły wieczór. Niestety, pan minister i jego żona mają dziś jeszcze jedno spotkanie, ale ja zapraszam państwa do mnie na kawę.

W mieszkaniu Judith atmosfera stała się bardziej swobodna. Pito kawę i likiery, słuchano przebojów z płyt kompaktowych, a pan Toyoma, który okazał się utalentowanym pianistą, grał sonaty Haydna i melodie jazzowe. Wkrótce wszyscy poczuli się na luzie i zaczęli tańczyć. Gdy z kuchni dobiegł gwizd czajnika, Adam zaproponował, że przygotuje herbatę po japońsku. W pewnej chwili Mark potracił kieliszek, rozlewając czerwone wino na suknię Caroline.

– Przemyj to wodą sodową – poradziła Judith. – W lodówce jest jeszcze z pół butelki. Chcesz, żebym poszła z tobą?

– Nie, nie kłopotz się tym. Znajdę sama – powiedziała Caroline.

Nikt nie usłyszał, jak weszła do kuchni. Pchnęła drzwi i zatrzymała się jak wryta. Adam stał oparty o szafkę, a Priscilla, przytulona do niego, namiętnie go całowała. Caroline jakby wrosła w ziemię. Targnęła nią fala mieszanych uczuć: złość, niedowierzanie, zazdrość. Mimo woli jęknęła. Adam odwróciwszy głowę spojrzał w jej stronę. Caroline uśmiechając się pogardliwie powiedziała przez zaciśnięte zęby:

– Nie przeszkadzajcie sobie. Wezmę tylko wodę sodową, żeby zmyć plamę, i zostawię was w spokoju, zakochane ptaszki.

Priscilla uniosła głowę. W jej zamglonym wzroku Caroline dostrzegła nie ukrywaną wrogość.

– To bardzo szlachetnie z twojej strony – rzuciła.

– Daj spokój, Priscillo. Masz już dość na dzisiaj. Zawiozę cię do domu – powiedział Adam nie znoszącym sprzeciwu tonem.

– Och, co za wspaniały pomysł, kochanie! – zachichotała.

Caroline zachnęła się:

– Przecież przyjechałeś ze mną!

– Mark cię odwiezie – uspokoił ją Adam. – Zaraz go o to poproszę.

Zanim Caroline zdążyła cokolwiek powiedzieć, Adam pchnął Priscillę do salonu i podszedł do gospodyni.

– Przepraszam, że przerywam zabawę, Judith – uśmiechnął się do niej – ale ja i Priscilla musimy już wyjść. Od rana czekają mnie obowiązki. Dziękuję za miły wieczór.

– Ja też ci dziękuję, Judith – zawołała Priscilla. Był to jakby sygnał dla wszystkich. Pritchardowie przestali tańczyć i zaczęli się szykować do wyjścia. Mark spojrzał na zegarek. Tylko pan Toyama, który świetnie się bawił, wyglądał na rozczarowanego. Goście przeszli do holu, wymienili pożegnalne uściski. Zaczęli szukać swoich okryć.

Gdy Priscilla sięgnęła po żakiet, zachwiała się i omal nie upadła. Podtrzymał ją Adam.

– Ojej! – zachichotała. – Całe szczęście, że tu jesteś, Tarzanie!

– W porządku. Dobranoc wszystkim – uciał Adam.

– Mark, zabierzesz Caroline do domu, dobrze?

– Oczywiście – odpowiedział Mark z dziwnym wyrazem twarzy.

Gdy szli do samochodu, szepnął Caroline do ucha:

– Zachowaj spokój. Porozmawiamy o tym w domu. Caroline jakoś udało się zapanować nad sobą.

Kiedy jednak Mark otworzył drzwi frontowe i wprowadził ją do holu, wybuchnęła długo tłumioną wściekłością:

– Nie przypuszczałam, że Adam Fletcher okaże się takim chamem: przyszedł na przyjęcie zjedną kobietą, a wyszedł z drugą!

– Powinien cię uprzedzić – przyznał Mark. – Ale jestem pewien, że miał ważny powód, żeby tak postąpić.

– Mówisz o tym tak spokojnie! Czy często zabiera ci sprzed nosa twoją dziewczynę?

– Priscilla nie jest moją dziewczyną. Mam żonę i troje dzieci w Północnym Queenslandzie i jestem z nimi bardzo szczęśliwy. Priscilla to tylko moja asystentka. Pracowała z moim poprzednikiem i doskonale zna się na tej robocie, nie było więc powodu, żeby ją zwalniać. Nigdy jej specjalnie nie lubiłem, nawet wtedy, gdy byli zaręczeni z Adamem.

– Co takiego?

– Adam nie mówił ci, że był z nią zaręczony?

– Nie. Nie rozumiem nic z tego, co się tu dzieje.

– To trochę skomplikowane – westchnął Mark. – Chodź, usiądziemy w salonie i postaram się zaspokoić twoją ciekawość.

Gdy już usiedli, zapytał:

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko, co możesz mi powiedzieć. Kim jest Priscilla Townsend i co znaczy dla Adama?

– Poznali się w Japonii, jakieś cztery lata temu. Ojciec Priscilli był tam ambasadorem

Australii, a Adam pierwszym sekretarzem ambasady.

– Pierwszym sekretarzem? – zapytała z niedowierzaniem Caroline.

– Tak, był na dobrej drodze do zrobienia kariery dyplomatycznej. Aż nagle zrezygnował i wrócił do interioru. Wtedy zaręczył się z Priscilla, ale ona po jednym pobycie w Winnamurze zerwała zaręczyny. Chyba nie tyle zależało jej na Adamie, co na błyskotliwym życiu w świecie dyplomacji: koktajle, wizyty ważnych osobistości i tak dalej. Rozeszli się jakieś dwa lata temu.

– Dziś wieczór wyglądali na zakochanych – zauważyła Caroline ponuro. – Pojechał z nią do domu...

– Myślę, że kierował się nadmiernym poczuciem obowiązku. Priscilla trochę za dużo dzisiaj wypila i chyba Adam obawiał się, żeby nie zachowała się niestosownie w obecności pana Toyamy. Zależy mu na tym człowieku, bo jest właśnie w trakcie załatwiania kontraktu na eksport wołowiny do Japonii.

– To Adam w dalszym ciągu pracuje dla rządu?

– Tak. Jest jednym z najbardziej cenionych konsultantów w sprawach handlu zagranicznego. Gdyby chciał, mógłby w każdej chwili wrócić do Canberry i kontynuować swoją karierę. Ale on jest zbyt przywiązany do Winnamury.

– A nie sądzisz, że może zmienić zdanie co do Priscilli i wrócić do Canberry?

– Nie ma mowy. – Mark potrząsnął zdecydowanie głową. – Adam jest bardzo dumny i nie umie przebaczać. Gdy Priscilla porzuciła go, poczuł się upokorzony. Jestem więc absolutnie przekonany, że nic już z tego nie będzie.

Caroline w milczeniu przetrawiała to, czego się dowiedziała. Tak, z całą pewnością Adam Fletcher był dla niej coraz większą zagadką. Jeszcze tego ranka w Ogrodzie Botanicznym trzymał ją w objęciach i wydawało się, że mogą myśleć o wspólnej przyszłości. A jak jest naprawdę? Może to tylko do niczego nie zobowiązujący flirt? Ogarnęło ją ogromne przygnębienie.

– Posłuchaj – odezwał się znowu Mark. – Wiem, że to nie moja sprawa, ale musiałbym być ślepy, żeby nie dostrzec, że coś jest między tobą i Adamem. Mogę ci powiedzieć jedno, Caroline. Daj mu szansę. To uczciwy chłop, znam go dobrze. Byliśmy razem w szkole i na uniwersytecie. Adam jest ojcem chrzestnym mojego najstarszego syna. Od lat mieszkamy razem w tym domu. Oczywiście ma swoje wady, jest wybuchowy, nie lubi ujawniać swych uczuć. Ale nie należy do tych mężczyzn, którzy uwodzą dwie kobiety naraz. Jeżeli coś się zaczęło między wami, to na pewno nie będzie romansował z Priscillą. Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Caroline pomyślała o długim, zmysłowym pocałunku, którego była świadkiem w kuchni Judith Wallace, i powiedziała sceptycznie:

– Naprawdę? To pięknie, że jesteś taki lojalny i bronisz go, Marku, ale tracisz czas. Jest mi zupełnie obojętne czy Adam śpi, czy nie śpi z Priscillą!

To największe kłamstwo, jakie kiedykolwiek powiedziałam, pomyślała w godzinę później, nie mogąc zasnąć i wpatrując się w ciemność.

Była już trzecia nad ranem i chociaż czujnie nasłuchiwała, żaden z przejeżdżających

samochodów nie skręcił pod dom.

To więcej niż prawdopodobne, że spędza noc z Priscillą, myślała Caroline. Mimo zapewnień, że nic ją to nie obchodzi, samo to podejrzenie rozpętało burzę sprzecznych uczuć w sercu Caroline: zazdrość, tęsknotę, złość, żal... Do tej pory skutecznie opierała się magnetycznej sile Adama. Teraz musiała sama przed sobą przyznać otwarcie, że pragnęła, żeby Adam posiadał jej duszę i ciało. A jednocześnie chętnie spoliczkowałaby go, wyładowując wściekłość za jego zdradę. Jęknęła głośno i uderzyła pięścią w poduszkę.

– Nienawidzę cię, Adamie Fletcher! Nigdy ci tego nie zapomnę!

Adam wrócił do domu dopiero w południe. Caroline siedziała w salonie, usiłując czytać jakiś tygodnik, ale mimo woli spoglądała cały czas w okno. Mark wczesnym rankiem pojechał do Parlamentu.

– Dzień dobry – powitał ją.

Powoli podniosła na niego wzrok. Nie miał już na sobie wieczorowego stroju. Ubrany był w granatowy garnitur i białą koszulę z szaroniebieskim krawatem. Znów zatrzęsała nią złość: aha, zmienił ubranie u Priscilli! Cóż za wygoda!

– Dzień dobry – odpowiedziała chłodno, nie zdradzając niczym swojego wzburzenia. – Mam nadzieję, że dobrze spałeś.

– Właściwie wcale nie spałem – odpowiedział z wyraźnym rozbawieniem w oczach.

Caroline nie mogła się już opanować.

– No to co robiłeś? – krzyknęła. – A może nie powinnam pytać?

– Położyłem Priscillę Townsend do łóżka – odpowiedział powoli, przypatrując się jej spod przymrużonych powiek.

– Rozumiem.

– Czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie?

– Nie! – krzyknęła i zerwawszy się na równe nogi podeszła do okna.

– Jesteś beznadziejną kłamczucha!

W tej samej chwili poczuła ciepły dotyk jego rąk. Obrócił ją twarzą do siebie.

– Zabierz te ręce! – syknęła. Puścił ją z przesadnym pośpiechem.

– Dlaczego jesteś taka wściekła na mnie? – zapytał. – Czyżby to była zazdrość?

– Nie bądź głupi! – krzyknęła. – Uważam tylko, że to niezbyt grzeczne zaprosić mnie na kolację i odejść z kimś innym. Adam z pewnym zakłopotaniem przyglądał włosy.

– Masz rację. Przepraszam. Nie spodziewałem się, że będzie tam Priscilla. Wszystko wypadło bardzo niezręcznie.

– Niezręcznie? Chyba żartujesz. Zaraz mi jeszcze powiesz, że spędziłeś z nią noc powodowany chwilowym impulsem. To oczywiste, że nasz związek nic dla ciebie nie znaczy i że nie mamy już o czym mówić.

– Czy nie zechciałabyś mnie wysłuchać? – wybuchnął Adam.

Caroline zawahała się na moment. Potem przypomniała sobie wszystkie wyjaśnienia, jakie usłyszała od Jeremiego przed ostatecznym zerwaniem, kiedy odszedł z inną kobietą.

– Nie – odpowiedziała stanowczo. – Cóż mnie to może obchodzić, że śpisz z twoją dawną narzeczoną?

– Dlaczego tak łatwo wierzysz we wszystko najgorsze? – zapytał ze smutnym uśmiechem.

– To czemu zostałeś u niej na całą noc?

– Zostałem z Priscilla, bo chciała ze mną przedyskutować coś ważnego – wyjaśnił spokojnie.

– Ach tak? A cóż takiego? Może to zresztą twoja osobista sprawa?

– Tak, raczej osobista – spojrzał na nią bardzo poważnie. – Powinnaś chyba jednak o tym wiedzieć. Chciała, żebyśmy się znowu zaręczyli.

– Co takiego? – Wstrząśnięta Caroline miała wrażenie, że świat się wali na jej głowę. – I co jej odpowiedziałeś?

– Można by sądzić, że to cię bardzo obchodzi – zauważył nieco złośliwie. – Ale tak nie jest, prawda?

Najchętniej wybuchnęłaby teraz szlochem, ale musiała ocalić jedyne, co jej pozostało – dumę.

– Niespecjalnie – wzruszyła ramionami. – Poflirtowaliśmy sobie miło, Adamie, ale twoje małżeńskie plany to nie moje zmartwienie. Jak już ci wcześniej mówiłam, mnie małżeństwo nie interesuje. Teraz chciałabym jak najszybciej zakończyć sprawę ognistej lilii i wrócić do Londynu.

Trzy dni później Danny Japulula zatelefonował, że starszyzna plemienia wróciła już z wędrówki. Wkrótce potem Caroline i Adam polecili do Winnamury. Pozornie byli dla siebie bardzo uprzejmi, ale w głębi ich dusz tliły się wzajemne żale i urazy.

Po przyjeździe, jeszcze tego samego wieczora, Adam poprowadził ją w stronę bungalowów, które znajdowały się za domem. Skręcił na ścieżkę prowadzącą w kierunku palącego się jasnym płomieniem ogniska. Gdy weszli w krąg światła, Caroline zobaczyła ośmiu lub dziewięciu starców siedzących ze skrzyżowanymi nogami wokół ogniska. Ich siwe włosy i brody odcinały się wyraźnie od ciemnej skóry. Wszyscy jednocześnie zwrócili na nią czarne oczy, bacznie jej się przyglądając.

Zmieszana tą bezceremonialnością, spojrzała bezradnie na Adama.

– Co mam robić? – szepnęła.

– Nie wszyscy znają angielski. Lepiej więc, żebym to ja z nimi rozmawiał. Wyjaśniłem im z grubsza, czego chcesz, ale mogą zadawać ci jakieś pytania. Będę twoim tłumaczem.

Bez najmniejszego skrępowania usiadł po turecku na brudnej ziemi, uśmiechnął się do nich szeroko i zaczął mówić dziwnym, gardłowym językiem. Starcy kiwali głowami, pytali o coś z wielkim ożywieniem. Następnie jeden z nich wstał, podszedł do Caroline, spojrzał jej w oczy i wrócił na swoje miejsce. Przez kilka chwil panowała kompletna cisza.

– No i co? – zniecierpliwiła się wreszcie.

– Masz szczęście – odpowiedział Adam. – Charlie Yunupingu orzekł, że sympatycznie wyglądasz i można ci zaufać. Będą szczęśliwi, jeśli uda im się pomóc chorym dzieciom. Zgodzili się, abyś weszła do ich świętego miejsca, ale pod eskortą. Możesz zebrać kwiatów i nasion, ile tylko zechcesz.

– Cudownie! – wykrzyknęła. Twarz jej rozbłysła niezwykłym podnieceniem.

– Jest jedna przeszkoda – ostrzegł ją Adam.

– Naczelnicy plemion twierdzą, że nie ma mowy o przesadzaniu dojrzałych roślin. Natychmiast zginą. Jeśli naprawdę chcesz mieć jakiś efekt, musisz poczekać ze dwa miesiące, aż wysypią się nasiona.

Dwa miesiące! – pomyślała ogromnie rozcieszona. Musi więc wrócić do Darwina i tyle czasu czekać bezczynnie. Zacisnęła drżące wargi.

– No cóż, rozumiem – powiedziała spokojnie. – Nic na to nie mogę poradzić. Podziękuj im, Adamie, że okazali mi zaufanie. Tobie też dziękuję... za wszystko! – Przerwała na chwilę, by zaczerpnąć powietrza. A potem z wymuszonym uśmiechem mówiła dalej: – Naturalnie nie będę nadużywać twojej gościnności. Jak najszybciej pojedę do Darwina, a jeśli pozwolisz mi wrócić i zebrać nasiona w październiku...

Nie dokończyła, bo Adam chwycił ją za ramiona i spoglądając na jej nieszczęśliwą twarz, wykrzyknął:

– Nie bądź śmieszna! Zostaniesz tutaj! Caroline westchnęła z ulgą.

– A kiedy pojedziemy zobaczyć to miejsce?

– Zabiorę cię tam jutro.

Wschodzące słońce oświetlało bladożółtym blaskiem pustkowie, przez które przejeżdżali. Tym razem skierowali się w zupełnie inną stronę, na północ, piaszczystą drogą prowadzącą do okręgu Arnhem.

Caroline spodziewała się trasy długiej, przynajmniej osiemdziesięciokilometrowej, toteż zdziwiła się niepomiarowo, gdy po półgodzinie Adam zwolnił i zatrzymał się w odległości około stu jardów od złocących się w słońcu skał.

– To święte miejsce jest właśnie tutaj – powiedział. – Nie pojedziemy jednak dalej, bo mógłbym zgnieść rośliny. Pójdziemy pieszo.

Caroline wysiadła z wozu i poprawiła pasek przewieszzonego przez ramię aparatu fotograficznego. Na szczęście zaopatrzyła się w filmy w Canberrze. Ruszyła w ślad za Adamem. W spalonym słońcem mchu głośno grały cykady, jaszczurki wylegiwały się na kamieniach, stado różnokolorowych, wrzeszczących kakadu zerwało się na ich widok z korony wysokiego drzewa eukaliptusowego.

Adam prowadził ją szerokim przejściem między skałami, aż znaleźli się w jakby przez naturę utworzonym amfiteatrze pokrytym wysokimi do kolan, purpurowo-płomiennymi kwiatami. W powietrzu unosił się wspaniały zapach gorącego karmelu. Caroline stanęła jak wryta, wdychając z rozkoszą tę woń.

– Ogniste lilie! – krzyknęła uszczęśliwiona. – Nareszcie! Jakie piękne! I są tu ich chyba tysiące!

Z okrzykiem radości wbiegła między kwiaty i uklękła na samym środku pomarańczowego kobierca. Dusza botanika nie pozwalała jej zerwać ani jednego kwiatka. Zanurzyła twarz w chłodnych płatkach, czując ich ciepły, słodki zapach.

– Dziękuję ci, Adamie, dziękuję! – wołała. – Są nieprawdopodobnie piękne! Wprost nie

umiem wyrazić mojej wdzięczności!

Zacząła fotografować kwiaty z wszystkich możliwych stron. Potem, zdjąwszy z ramienia torbę, gorączkowo wydobywała z niej różne przedmioty: plastikowe torby na próbki gleby, łopatkę, notes. Zamyślony Adam obserwował ją ze zmarszczonym czołem.

– Czy nie za dużo czasu ci zabieram? – zapytała niespokojnie. – Mógłbyś pojechać i wrócić po mnie później.

– Nie, zostanę tutaj – odpowiedział. – Rób, co masz robić i zawołaj, kiedy będziesz gotowa.

Po upływie pół godziny pomachała do niego ręką. Adam, który cały czas obserwował teren z urwistego zbocza, zjawiał się natychmiast. Z rozjaśnioną twarzą pokazała mu torbę pełną ziemi i dwie duże lilie w osobnej plastikowej torebce, którą przyciskała do piersi.

– Zwiędła – ostrzegł ją Adam. – Nie dadzą się przesadzić, wiesz o tym.

– Wiem, ale mimo to chcę spróbować. W ostateczności zasuszę je i zbadam pod mikroskopem. Mam zamiar opisać dokładnie tę roślinę dla „Australijskiego Magazynu Botanicznego”. Och, Adamie, mam jeszcze tyle do zrobienia!

Adam nie podzielał jej entuzjazmu. Wyciągnął rękę po worek z próbkami gleby i zaproponował:

– Zaniosę to do dżipa.

Caroline spoważniała. Uświadomiła sobie w tym momencie, że tak bardzo chciałaby, żeby i on dzielił z nią radość z odnalezienia ognistej lilii. A tymczasem w jego oczach nie było nic prócz zwykłej obojętności.

Caroline w zamyśleniu spoglądała na falujące morze ognistych lilii. Ogarnęło ją ogromne zniechęcenie. Od dawna marzyła o chwili, kiedy będzie mogła wziąć w ręce ognistą lilie, a tym samym uzyskać możliwość uratowania tysięcy istnień ludzkich. Teraz ten sukces został całkowicie pozbawiony blasku przez oczywisty brak zainteresowania ze strony Adama.

– Co się stało? – zapytał.

– Nic się nie stało – odpowiedziała ze smutkiem.

– Może chcesz rzucić okiem na malowidła na skale?

– Malowidła? Zupełnie o nich zapomniałam! – powiedziała, znów się ożywiając. – Oczywiście, że chciałabym je zobaczyć. Myślałam jednak, że kobietom nie wolno oglądać przedmiotów kultu.

– To nie dotyczy tych malowideł. W każdym razie zobaczysz, jakich zniszczeń dokonał twój uroczy przyjaciel Michael Barclay.

– On nie jest moim przyjacielem! – zaprotestowała. – Widziałam go tylko raz w życiu.

– I uznałaś, że jest przemiłym facetem!

– Tak! – wybuchnęła. – Ale zdobył również twoje zaufanie, dzięki czemu dostał się tam i dokonał kradzieży! Co to ma wspólnego ze mną?

Adam nie odpowiedział. Po chwili ujął ją pod ramię.

– Chodźmy! Malowidła są pod tą skałą od zachodniej strony.

Caroline, nie ochłonawszy jeszcze całkowicie z gniewu, pozwoliła się poprowadzić przez pole ognistych lilii w stronę skał o łagodnych zboczach.

– Schyl głowę! – ostrzegł ją Adam. Zamrugła oczyma, gdy nagle z jaskrawego światła słonecznego weszli do półmroku jaskini o wymiarach sześć na dwa i pół metra. Pod nogami chrzęścił żółty piasek. Jedną ze ścian ozdobiły pełne wyrazu dzieła aborygeńskich artystów. Ich harmonię psuło ziejące pustką miejsce o powierzchni dwóch metrów kwadratowych. Caroline podeszła bliżej. Rysunki w dynamicznym ujęciu przedstawiały zwierzęta z tego regionu i polujących na nie myśliwych. Wszystko w kolorach czerwonym, białym i czarnym. Widoczne były wewnętrzne organy zwierząt, jakby prześwietlone promieniami rentgenowskimi. Kangury skakały po głazach, myśliwi szykowali do rzutu dzidy, jaszczurki zwinnie umykały spod nóg i wydawało się, że w szczelinach skalnych pływają ryby.

– Niezwykłe! – wykrzyknęła Caroline. – Jak można było dokonać takiej profanacji?

– Z żądzы zysku. Barclay musiał wyciąć duży fragment, żeby sprzedać twemu muzeum.

– Jestem pewna, że muzeum nie kupiłoby tych malowideł, gdyby wiedziało, że pochodzą z kradzieży. Czy nie można spróbować odzyskać ich, skoro wiadomo, gdzie są teraz?

– Zaczęłam już pertraktacje w tej sprawie, ale to nie takie proste. A poza tym, jeśliby nawet to się powiodło, nic nie przywróci im pierwotnego wyglądu.

– A w jaki sposób udało mu się wyciąć tak ogromny kawał skały? Przecież to wymaga nie lada wysiłku.

– Ano właśnie! – Skrzywił się ponuro Adam. – Jak dowiedziałem się później od pewnego geologa, tutejsze piaskowce są bardzo kruche. Dlatego też, dysponując odpowiednimi narzędziami, łatwo było oderwać te rysunki od podłoża. A Barclay miał takie narzędzia. Mało tego! Przez moją własną głupotę mógł z nich w każdej chwili skorzystać.

– Jak to? – zdziwiła się Caroline.

– Było to tak – zaczął wyjaśniać Adam. – Przyjechał tutaj z kupą sprzętu wideo i opowiadał niestworzone historie o tym, jak to dla telewizji brytyjskiej kręci film dokumentalny o aborygenach. Nie przyszło mi do głowy sprawdzić go. Przyjmowałem go z honorami i poleciłem moim ludziom, żeby we wszystkim służyli mu pomocą. A gdy już zdobył nasze zaufanie, zjawił się tu któregoś pięknego dnia swoim dżipem, ale tym razem bez sprzętu wideo. Miał natomiast benzynowy agregat i przenośną piłę elektryczną o diamentowym ostrzu. Oczywiście nie zatrzymał się przy drodze, ale przejechał przez pole lili, zamontował piłę, wyciął płytę i odjechał w siną dal. Zrobił ze mnie głupca i szybko mu tego nie zapomnę! Powiem ci jeszcze coś. Jeśli historia z lekiem zrobionym z tych lili jest nowym pomysłem Barclaya, to gorzko tego pożałujesz!

Caroline aż wzdrygnęła się i oburzona krzyknęła:

– Zupełnie zwariowałeś! Przyjechałam tu w jednym, jedynym celu – żeby zdobyć nasiona ognistej lili. Kiedy tylko będę je miała, wyjeżdżam do Londynu, nie zwlekając ani minuty.

– Cieszę się – odpowiedział Adam szorstkim głosem. – Im prędzej opuścisz to miejsce, Caroline, tym lepiej!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następne tygodnie były dla Caroline bardzo trudne. Z jednej strony, nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa: każdy dzień przynosił nowe odkrycia i dalszy postęp w jej pracy. Z radością stwierdziła, że znalazła się w prawdziwym rajach dla botanika.

Gdy wrócili z Canberry, sprowadzono jej rzeczy pozostawione w rozbitym dzipie. Okazało się, że wiele roślin, które znalazła w czasie podróży, należało do nowych, nie znanych jeszcze w botanice gatunków. Zajęta odrysowywaniem ich i klasyfikacją, często kładła się spać po północy. Po pewnym czasie zaczęły do niej nieśmiało przychodzić czarnookie dzieci i uśmiechnięte kobiety aborygeńskie z torbami pełnymi różnych ziół.

Z drugiej strony tę radosną atmosferę psuło napięcie między nią i Adamem. Caroline cierpiała istne tortury przebywając z Adamem w tym samym domu i czując często na sobie jego uporczywe spojrzenie. Barierej pomiędzy nimi stanowiło nie tylko wspomnienie o Priscilli. Adam w dalszym ciągu podejrzewał ją o złe zamiary w związku z malowidłami naskalnymi.

Mimo to nawiązała się pomiędzy nimi nić sympatii. Caroline stopniowo wciągała się w rytm codziennych zajęć gospodarskich. Adam uczył ją jeździć na wielbłądzie. Z wielkim zainteresowaniem przyglądała się z helikoptera, jak odbywa się inspekcja stada, a potem asystowała przy tym, jak Adam wiązał i znakował nowe sztuki.

Wprawdzie gospodarstwo Adama znajdowało się na odludziu, ale utrzymywano dość ożywione kontakty z sąsiadami. Wszystkie kobiety tej rozległej prowincji odbywały pogawędki z sąsiadkami za pomocą radia. Czasami na herbatę przylatywali helikopterami inni właściciele bydła. Zawsze, zgodnie z przyjętą tu zasadą, załatwiali dla siebie wzajemnie sprawunki w mieście. Podczas jednej z takich wizyt Caroline poprosiła Jackie Webb, żeby kupiła dla niej jakieś kwiaty w doniczkach i materiał na zasłony, żeby mogła wreszcie zabrać się do dekorowania wnętrza domu. Gdy Adam wrócił po trzydniowej nieobecności, nie wierzył własnym oczom.

– Nie do wiary! – wykrzyknął, wodząc zdumionym wzrokiem po kolorowych zasłonach, poduszkach i ustawionych tu i ówdzie świeżych kwiatach. – Całkowicie zmieniłaś to miejsce! Nieraz już myślałam, żeby się tym zająć, ale nigdy nie starczało mi czasu.

Wieczorem, przy kolacji, poradził się Caroline w sprawie zakupu nowych tapet. Siedli razem, głowa przy głowie, i zaczęli przeglądać katalogi. Caroline przyłapała się na myśli, że nie powinna dać się za bardzo wciągać w urządzenie tego domu, skoro wyjedzie stąd za kilka tygodni.

Jakby na potwierdzenie tych wątpliwości zadzwoniła Priscilla i Adam bardzo długo z nią rozmawiał.

Im szybciej wyjadę, tym lepiej, pomyślała z goryczą. A gdy Adam wrócił z gabinetu, gdzie prowadził rozmowę, z wyraźnie zadowoloną miną, zrewanżowała mu się bajdurzeniem o tym, jak bardzo tęskni za Londynem i domem.

Było to całkowicie niezgodne z prawdą. Północna Prowincja podbiła jej serce swoim

tajemniczym, pierwotnym urokiem i Caroline doskonale wiedziała, że przez resztę życia będzie nieustannie tęsknić za jej surowym pięknem. Każdego dnia z chciwością skąpca gromadzącego skarby zbierała na przyszłość wspomnienia: oświetlonych złotym blaskiem słońca dni spędzonych w siodle, wśród skalistych wzgórz i czerwonych równin, pod kobaltowo-niebieskim niebem z przelatującymi z wrzaskiem żółtymi i białymi kakadu, wśród skalnych jezior, których chłodna, zielonkawa woda przynosiła rozkoszną ulgę rozgrzanemu ciału. Ale nade wszystko będą to wspomnienia o wysokim blondynie z zaciętym wyrazem twarzy i najbardziej błękitnymi oczami, jakie kiedykolwiek widziała. Serce jej ścisnęło się boleśnie na myśl, że wkrótce opuści to wszystko na zawsze. A czas upływał nieubłaganie.

Minął upalny sierpień i jeszcze gorętszy wrzesień. Często w czasie inspekcji stad dostrzegali z helikoptera dymy pożarów wywołanych piorunami. Ale pole ognistych lili wciąż pozostawało nietknięte. Adam proponował, żeby podłożyć ogień, jednak Caroline uważała, że nie powinno się ingerować w siły natury. Prawdziwy powód był jednak całkiem inny: gdy wysypią się nasiona ognistej lili, nie będzie mogła przedłużyć swego pobytu tutaj.

Zdarzały się chwile, gdy chciała wszystko wyznać Adamowi, ale jedno spojrzenie na jego ironiczną minę wystarczało, by natychmiast rezygnowała. Bała się ponownego upokorzenia i bólu, których doświadczyła w pierwszym małżeństwie.

Wreszcie długo oczekiwany pożar ogarnął pole ognistych lili. Pod koniec października, dwa tygodnie po pożarze, Adam oznajmił, że pora już zebrać nasiona. Pojechał z nią i pomagał w pracy, ponury jak chmura gradowa. Caroline czuła na sobie jego przenikliwy wzrok, gdy nachylała się nad poczerniałymi roślinami.

Już po dziesięciu minutach włosy jej lepiły się do spoconego czoła, bolały ją plecy. Kolana miała podrapane, a ręce czarne. W końcu, gdy uzbierali już dwanaście toreb, Adam podniósł się i zapytał:

– Może już wystarczy?

– Nie. Muszę mieć ich tak dużo, żeby wystarczyło do najprzeróżniejszych badań. Jeszcze chwilę cierpliwości.

Adam zaklął pod nosem i ponownie zabrał się do roboty. A kiedy dotarł do nawisu skalnego, pod którym znajdowała się jaskinia z malowidłami, ze złością uderzył pięścią o kamień.

– Czy ty nigdy się nie poddajesz?

– Nie! – odkrzyknęła. – Urobię sobie ręce po łokcie, ale muszę te nasiona zawieźć do domu!

– Wydaje mi się, że już na dziś masz dość. Słuchaj, Caroline, możemy tu przyjechać ju...

Przerwał, spoglądając z przerażeniem na niebo.

– Musisz przerwać natychmiast, czy ci się to podoba, czy nie!

– Dlaczego?

– Bo za chwilę lunie deszcz! – odpowiedział, patrząc na błękitne niebo nad ich głowami.

Podążyła za jego wzrokiem i znowu kucnęła.

– Nie ma przecież najmniejszej chmurki – zaprotestowała. – Jesteś pewien, że będzie padało?

– Tak. Czuję to.

Caroline uzmysłowiła sobie nagle, że w gorącym i ciężkim powietrzu faktycznie daje się wyczuć jakieś nadciągające niebezpieczeństwo. Wprawdzie nic jeszcze nie mąciło jaskrawego błękitu, ale w oddali pojawiła się maleńka, prawie niewidoczna smuga. Adam zawołał nagle ostrym głosem:

– Uciekajmy! – Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. – Musimy stąd odjechać jak najszybciej.

Zaskoczona Caroline wypuściła z rąk papierową torbę. Torba rozdarła się, a nasiona wysypały na ziemię.

– Cholera! – krzyknęła i schyliła się, żeby je zebrać.

– Nie ma czasu! – ryknął Adam. – Zostaw je! Wyrwał jej z rąk rozdartą torbę, schwycił pudełko z pełnymi torbami i pobiegł przez spalone pole.

– Pośpiesz się! Tu chodzi o życie!

Gdy dobiegli do dżipa, Caroline ciężko dyszała, a włosy jej rozwiewały się na wszystkie strony. Adam zdążył już otworzyć drzwiczki i kiedy wsiadła, natychmiast ruszył.

– Co się dzieje? Skąd ten pośpiech?

– Ta droga jest zalana w porze deszczowej – odpowiedział krótko. – Jeśli zaraz nie wrócimy do domu, dżip utknie tu na całe miesiące. Poza tym po drodze jest wyschnięte koryto rzeki. Jeśli woda je zaleje, nie damy rady tamtędy przejechać i trzeba będzie iść pieszo naokoło. A jest to przeszło trzysta kilometrów. Trzymaj się mocno, bo zamierzam pobić wszelkie rekordy szybkości!

Wkrótce na niebie rozbłysły pierwsze błyskawice. Pędząc z przerażającą szybkością ujechali zaledwie kilometr, gdy Caroline usłyszała pierwszy grzmot. Jakaś gigantyczna, rozpalona kula potoczyła się drogą w ich kierunku i pękła z potwornym hukiem.

– Psiakrew! – mruknął Adam, naciskając gaz do dechy.

Było coś przerażającego w tej próbie prześcignięcia burzy. Niebo zrobiło się złowieszczo czarne, nad ich głowami gromadziły się masy chmur. Do głuchych grzmotów dołączył nagle szmer pierwszych kropli deszczu, rozbijających się o maskę samochodu.

– Szybciej, szybciej! – denerwował się Adam, pochylając się nad kierownicą i poganiając samochód jak narowistego konia. Caroline dostrzegła w jego niebieskich oczach błysk podniecenia, jakąś dziką radość na napiętej twarzy.

– Ciebie to najwyraźniej bawi! – powiedziała z wyrzutem.

– Czemu nie? – odparł, skręcając gwałtownie kierownicę. – Lubię niebezpieczeństwo. Czuję wtedy, że żyję!

Caroline zaciskała ręce na fotelu i obserwowała go błyszczącym wzrokiem.

Przy tobie i ja wiem, że żyję, pomyślała. Adamie, taka jestem szczęśliwa, że tu przyjechałam i spotkałam ciebie, bez względu na to, co się teraz zdarzy.

– Jak myślisz, czy zdążymy przejechać przez strumień przed burzą? – zapytał z wyzwaniem w głosie.

– Przed burzą? – powtórzyła zdziwiona, patrząc na wycieraczki zgarniające wodę z przedniej szyby.

- Przecież burza już się zaczęła!
- Jeszcze nie, kochanie – powiedział łagodnie Adam.
- To dopiero preludium. Módl się, żebyśmy zdążyli, zanim rozpada się na dobre.

Zdawało się, że nad ich głowami toczy się jakaś bitwa powietrzna. Deszcz lał jak z cebra, niebo huczało od ogłuszających, dudniących echem grzmotów, rozświetlane jaskrawymi błyskawicami. Kiedy dotarli do koryta rzeki, okazało się, że pełne już jest burej, spienionej wody.

– Boże! – jęknęła Caroline. – Co teraz zrobimy? Adam z napiętą twarzą wychylił się przez okno i przyjrzał uważnie białym żerdziom sterczącym z wody, a potem wjechał prosto w spieniony nurt. Caroline skurczyła się wewnętrznie, słysząc szum wody pod kołami i ryk silnika walczącego z żywiołem. Adam jednak wiedział, co robi. Po kilku strasznych minutach wydostali się na błotnisty brzeg po drugiej stronie rzeki.

- Dzięki Bogu! – odetchnęła z ulgą.
- Najgorsze za nami – potwierdził Adam. – Dalej już pójdzie łatwo.

Jednak nie był to jeszcze koniec. Droga prowadząca do gospodarstwa była już pokryta ogromnymi kałużami. Spod kół dżipa tryskały fontanny brudnej wody. Burza rozszalała się na dobre, gdy znaleźli się na ostatnim odcinku, między zagrodami dla bydła a domem. Już przedtem deszcz wydawał się Caroline ulewny, ale teraz uderzył z niezwykłą siłą o przednią szybę. Porywy wichury szarpały dżipem, spychając go z drogi. Poprzez ścianę deszczu nie było nic widać na odległość kilku kroków. Tylko błyskawice oświetlały co pewien czas kołyszące się na wietrze korony drzew pieprzowych. Wycieraczki nie nadążały z oczyszczaniem szyby i Adam musiał wychylić się przez boczne okno, żeby cośkolwiek dostrzec w otaczającej ich ciemności. W jednej chwili był cały mokry, a woda dostała się również do wnętrza samochodu.

- Tam jest szopa! – zawołał, przekrzykując ryk burzy, i skręcił kierownicę.

Nagle wydało się, że zapadła niesamowita cisza. Caroline wysiadła z dżipa i rozejrzała się po ciemnej, blaszanej szopie, śmierdzącej benzyną, olejem napędowym i mokrą wełną. Wkrótce usłyszała, jak po cienkim dachu bębni deszcz niczym rozszalały karabin maszynowy. Adam obszedł samochód od przodu i zapytał:

- Dasz radę przebiec do domu?
- A czy nie moglibyśmy tu poczekać, aż deszcz ustanie? – zapytała przestraszona.
- Nie, chyba że chcesz tu biwakować przez kilka dni – odpowiedział szczerząc zęby w uśmiechu, najwyraźniej rozbawiony. – Kiedy już tutaj zaczniesz padać, trwa to bardzo długo.

Caroline spojrzała z lękiem na ścianę wody na zewnątrz.

- A co zrobimy z nasionami lili?

– Zostaw je tutaj. W dżipie mają większe szanse, żeby nie zmoknąć. A teraz uważaj. Kiedy powiem: „Naprzód!”, biegniemy do schodów. Jasne?

- Jasne.

Podprowadził Caroline do otwartych drzwi i położył rękę na jej ramieniu.

- Naprzód! – zawołał.

Rzuciła się w przerażający świat rozszalałego żywiołu. Rzęsiste krople deszczu spadały

na nią jak tysiące pocisków. Silny wiatr podcinał nogi. W świetle kolejnej błyskawicy zobaczyła zarys domu, pochyliła głowę i jednym skokiem dopadła schodów. Przemoknięta była do suchej nitki i oślepią ulewą.

W chwilę potem, kompletnie przemoczeni, znaleźli się we wnętrzu domu. Caroline spjrzała po sobie i z przerażeniem stwierdziła, że wokół niej na podłodze robi się wielka kałuża.

– O, Boże! – wykrzyknęła. – Zniszczę posadzkę!

– Daj spokój! – zniecierpliwiał się Adam. – Idź do pokoju i czym prędzej zrzuć z siebie mokre ubranie!

Caroline poszła w stronę holu, ale gdy zobaczyła, że na wyfroterowanej podłodze zostawia mokre ślady, zatrzymała się niezdecydowanie. Adam, krzyknąwszy coś, objął ją za ramiona i siłą zmusił, żeby przeszła przez hol do swojego pokoju. Otworzył drzwi i wepchnął ją do środka, a następnie wprowadził do łazienki.

– Wycieraj się! – rozkazał, podając jej ręcznik. Caroline jednak stała bezmyślnie, a woda ściekała jej z włosów po twarzy. Adam, mruczając coś pod nosem, chwycił ręcznik i zaczął tak energicznie wycierać jej głowę, że zachwiała się i omal nie upadła.

– Przepraszam! – krzyknął, podtrzymując ją za ramię.

Spojrziała na niego mokrymi od deszczu, szarymi oczyma, nic nie mówiąc. Adam jęknął i upuścił ręcznik na podłogę. Caroline stała z rozchylonymi wargami, oddech jej stawał się coraz szybszy. Adam pochylił się nad nią i pocałował z taką gwałtownością, że miała wrażenie, jakby ziemia osuwała się jej spod nóg. Powodowana instynktem silniejszym od własnej woli objęła Adama i przytulając się mocno zaczęła go całować z namiętnością, która zaskoczyła ich oboje.

– Och, Adamie! – zdołała wreszcie wykrztusić. Wiedziała, ile kosztuje go wysiłku, żeby nie dać się ponieść uczuciu. Zanurzwszy palce w jej mokre włosy, przyciągnął ją mocno do piersi i oparł policzek o jej głowę. Słyszała mocne uderzenia jego serca i czuła gorąco bijące od niego.

– Powinnaś się wykapać – mruknął. – Musisz się przebrać!

Nagłym ruchem oderwał się od niej i odwrócił się, jakby chcąc odejść. Caroline zadrzała.

Jeśli mam choć odrobinę godności, pomyślała z rozpaczą, nie powinnam go zatrzymywać. Ale ja go kocham! Wyciągnęła rękę.

– Nie odchodź – poprosiła błagalnym tonem. Odwrócił się.

– Wiesz, co się stanie, jeśli nie odejdę? Wiesz, Caroline? – zapytał.

Kiwnęła głową.

– Jak tylko przestanie padać, wrócisz do Londynu – przypomniał jej z wściekłością. – To szaleństwo!

– Wiem.

– Chcesz tego, choć wiesz doskonale, że to tylko przygoda jednej nocy?

Pogarda tych słów raniła ją do żywego. To, co jej proponował, było upokarzające. Ale żaden inny mężczyzna tak jej nie podniecał, nie pociągał, nie rozpałał do szaleństwa, jak Adam Fletcher.

– No wiec? – zapytał brutalnie. – Czy tego właśnie chcesz?

– Tak – odpowiedziała, podnosząc hardo głowę.

– Wobec tego proponuję najpierw kąpiel – mruknął. – Idziemy razem pod prysznic.

Palcami powiódł po jej dekolcie i przyciągnął ją z wolna do siebie. Sięgnął do prysznica, odkręcił kurek i puścił silny strumień wody. Kiedy zdjął jej bluzkę, zaczerwieniła się pod spojrzeniem jego błękitnych oczu.

– Daj spokój! – zaśmiał się złośliwie. – Nie odgrywaj teraz nieśmiałej dziewicy. Gra się już skończyła, Caroline.

Wstrząsnął nią dreszcz, gdy gwałtownie, bez uprzedzenia, rozpiął haftki koronkowego staniczka i ściągnawszy go z jej ramion, rzucił na podłogę.

– Wiesz, już od dawna wyobrażałem sobie, jak rozbieram cię i namydlam pod prysznicem – powiedział tonem pogawędki. – Zastanawiałem się, czy jesteś taka seksowna, na jaką wyglądasz.

Caroline robiło się na przemian gorąco i zimno, gdy Adam zaczął rozpinąć pasek od jej szortów, a następnie powoli zsuwał je z jej bioder. Stała teraz naga i patrząc mu w oczy szepnęła:

– Ja też od dawna wyobrażałam sobie, że cię rozbieram.

Miała nadzieję, że nie zauważy drżenia jej rąk, gdy zdejmowała z niego koszulę i rozpiniała zamek błyskawiczny u spodni. Adam oddychał ciężko, oczy pociemniały mu od pożądania. Gdy Caroline nieśmiało go pogłaskała, jęknął chrapliwie:

– Ty mała wiedźmo. A niech cię! Chodź tu! Pociągnął ją pod gorący, silny strumień i zaczął z wolna, zmysłowo namydlać. Fala podniecenia ogarnęła jej ciało.

– Jak ci się to podoba? – pytał, wodząc mydłem po najwrażliwszych miejscach. – A tak? O, widzę, że bardzo, Caroline. Prawda, kochanie?

Czując bliskość twardego, muskularnego ciała Adama, Caroline jęczała i skręcała się od narastającego w niej pożądania. Wreszcie Adam złapał jej rękę, domagając się od niej podobnej pieśczoły. Bez zastanowienia usłuchała go, zawierzając własnemu instynktowi.

Po krótkiej chwili znowu przygarnął ją do siebie i chowając twarz w jej wilgotnych włosach, szepnął:

– Już dłużej nie mogę.

Zakręcił prysznic i wzięwszy ją za rękę wyprowadził z kabiny.

– Boże, jaka jesteś piękna! – zawołał.

Caroline też wpatrywała się w niego, zachwycając się jego pięknym, nagim ciałem. Wiedziała, że jest jedynym człowiekiem, na którym jej zależy. I będzie tylko do niej należał – choćby na tę jedną noc.

– Co ci jest? – zapytał zaniepokojony. – Chyba nie rozmyślasz znowu o eksmeżu?

– Nie. Nie myślałam już o nim od tygodni.

– To dobrze. Bo teraz jesteśmy tylko my dwoje, ty i ja, Caroline. I nikt więcej!

Wtedy wróciło inne przykre wspomnienie.

– Adamie, a co z Priscillą? Czy ożenisz się z nią?

– Nie bądź śmieszna – odpowiedział lekceważąco. Objąwszy ją, poprowadził do sypialni.

Podszedł do okna i zaciągnął zasłony, odgradzając ich w ten sposób od burzy szalejącej na zewnątrz. Zapalił boczną lampkę i pokój zalało przyćmione, różowe światło.

– Chodź do mnie – powiedział, kładąc się na łóżku i wyciągając do niej rękę.

Szła powoli, jak lunatyczka, niezdolna oderwać od niego oczu. W półmroku Adam wydał się podobny do dzikiego zwierzęcia w dżungli. Przyglądał się jej przymrużonymi błękitnymi oczyma z ironicznym uśmieszkiem na ustach.

– Pragnę cię – powiedział, ciężko dysząc. Caroline drżała tak silnie, że z trudem utrzymywała się na nogach. I nie strach był tego powodem, lecz pożądanie, którego nie była już w stanie opanować.

– I ja ciebie pragnę – wyszeptała.

Usiadła na łóżku i z pewnym wahaniem pochyliła się nad Adamem, żeby pocałować go w czoło, a wtedy jej pierś musnęła lekko jego szyję. Z jękiem zniecierpliwienia Adam chwycił ją za ramiona i przewrócił na łóżko. Po chwili znalazła się pod nim, a on ustami chciwie wessał się w jej pierś. Doznała takiego uczucia, jakby prąd elektryczny przepalał jej ciało od wewnątrz. Uwierzyła kiedyś oskarżeniom Jeremiego, że jest zimna, ale on nigdy jej tak nie kochał. Teraz wiedziała, że pragnie całym ciałem poddać się temu dzikiemu, niepomaganemu pożądaniu doprowadzającemu ją do całkowitego szaleństwa.

– Dotknij mnie tam – szepnął Adam.

Zaledwie zaczęła go pieścić, gdy już jęknął z podniecenia, a ona zaskoczona była, że tak łatwo udało się jej wywołać w nim to samo szalone pragnienie, jakie on wzbudzał w niej. Rozgorączkowana od trawiącego ją wewnętrznego żaru, wiała się pod nim w oczekiwaniu spełnienia. Ale Adam znajdował przyjemność w przedłużaniu jej męki. Pieszczotami rąk doprowadzał ją już niemal do ekstazy, aby w tej samej sekundzie wycofać się, a po chwili znów rozpocząć pieszczoty. Wreszcie, kiedy z szeroko otwartymi oczami i rozchylonymi ustami dygotała już cała, ulitował się nad nią.

– Czy jesteś już gotowa? – zapytał ochryłym szeptem.

Skinęła tylko głową. Ujął jej twarz w dłonie, przypatrując się uważnie.

– Caroline – szepnął.

I niespodziewanie pocałował ją delikatnie w policzek. Pocałunek ten był tak czuły, tak inny od poprzednich, że wzruszył ją do głębi serca. Teraz wiedziała na pewno, że kocha Adama. Chciała tego spełnienia, na które oboje czekali. Ale powróciły dawne wątpliwości. Spojrzała na niego z przerażeniem w oczach.

– Co jest? – zamruczał.

– Adamie – zaczęła drżącym głosem. – Nie oczekuj ode mnie za dużo... Nie chciałabym cię rozczarować...

– Nie martw się.

I przyciskając ją mocno do siebie, wziął wszystko. Oczekiwała bólu i zdziwiona była, gdy nie nadszedł. Była tak podniecona, że z radością otworzyła się przed nim, przyjmując go do siebie, jakby był dopełnieniem jej własnego ciała. Przyjęła go bez podświadomie oczekiwanego oporu wewnętrznego. Przeciwnie, pragnęła jeszcze ściślejszego połączenia. Szeptała jego imię, przywierając do niego całym ciałem, poddając się z radością potężnemu

naporowi.

– Adamie! Och, Adamie! – jęczała. Odpowiedział jej stłumionym, ochryplym okrzykiem, w którym rozpoznała swoje imię. Aż nagle, nie dowierzając samej sobie, Caroline poczuła pierwszy, zapierający dech dreszcz spełnienia, który wstrząsnął nią całą.

– Nie mogę! – dyszała. – Nie mogę!

– Możesz! – krzyknął Adam, napierając jeszcze mocniej.

Wstrząsana narastającą rozkoszą, krzyczała, bo wydawało się jej, że za chwilę uleci, wzniesie się do góry. Nagle świat wokół niej eksplodował. Nie było już nic, tylko oślepiający błysk światła. Do jej świadomości dotarł krzyk Adama, czuła, jak przywarł do niej z całej siły. Minęła wieczność, zanim oprzytomniała, z trudem łapiąc oddech, słysząc szalone bicie własnego serca i ryk wiatru na dworze. Westchnęła. Adam przyjrzał się jej uważnie.

– Co się stało?

– Nic – odpowiedziała i wybuchnęła płaczem.

– Caroline! – Zaniepokojony przytulił ją do siebie. – Caroline, kochana, o co chodzi?

Płakała cicho w jego ramionach, zdając sobie sprawę, że zachowuje się głupio. Gdyby zawsze tak trzymał mnie w objęciach. Gdyby znaczyło to dla niego trochę więcej niż jakaś przygoda. Gdyby mnie kochał! Och, nie bądź idiotką, Caroline. Przecież wiesz, że nie było mowy o miłości. Westchnąwszy, sięgnęła po chusteczkę.

– Nie gniewaj się – wyjąkała, ocierając oczy.

– Ale co się stało? Dlaczego płaczesz? – nalegał wyraźnie przestraszony. – Czy wyrządziłem ci krzywdę?

– Och, nie! – odpowiedziała szybko i zdobywając się na nikły uśmiech, dodała: – Nie gniewaj się.

– Skąd ta obawa, że mogłabyś mnie rozczarować? – zapytał, poprawiając niesforny lok na jej czole.

– No wiesz... – wymamrotała czerwieniąc się.

– Właśnie że nie wiem. Powiedz mi – nalegał bezlitośnie. Odwrócił jej twarz ku sobie. – No więc?

Zrozumiała, że Adam nie ustąpi, póki nie dowie się tego, co chce.

– Jeremi mówił, że jestem zimna – wyszeptwała.

– Zimna? Mój Boże! Dawno nie słyszałem czegoś tak zabawnego! Chyba w to nie wierzysz, co?

– Wydawało mi się, że to prawda – powiedziała, czerwieniąc się jeszcze bardziej. – Nigdy z nim nie było mi dobrze.

– A z innymi mężczyznami? Też miewałaś problemy? Caroline milczała, nie wiedząc, jak wyznać prawdę.

Adam spojrzał na nią przenikliwie i z niedowierzaniem zapytał:

– Nie było innych mężczyzn, tak? Kiwnęła głową potakująco.

– Ale dlaczego? Czyżbyś dalej kochała tego drania, za którego wyszłaś za mąż?

– Skądże! Nie kocham Jeremiego! Myślę, że nigdy go nie kochałam.

– Przedtem mówiłaś coś innego! Kiedy tylko cię dotknąłem, od razu zaczynałaś marzyć o

swoim drogim Jeremim!

– Przebacz mi!

– Cały czas podejrzewałem, że kłamiesz, ale dlaczego to robiłaś?

– Bo się bałam! – wyrzuciła z siebie z rozpaczą w głosie. – Śmieszne, prawda? Mam dwadzieścia osiem lat i boję się. Sądziłam, że nie potrafię zadowolić mężczyzny tak jak inne kobiety. Żeby uniknąć następnego zawodu, udawałam, że nadal Kocham eksmęża. To była dobra wymówka.

– Dziś jednak poszłaś ze mną do łóżka. Dlaczego? Przez jedną szaloną chwilę Caroline bliska była wyznania mu wszystkiego. Miała ochotę krzyknąć: „Bo cię Kocham!”. Ale on patrzył na nią tak chłodno, obojętnie, że nie mogła się na to zdobyć. Przeciągając się jak kotka, ziewnęła i unikając jego wzroku odpowiedziała lekkim tonem:

– Bo ja wiem? Pewnie pod wpływem nagłego impulsu.

Twarz Adama stężała.

– Rozumiem. Chwilowy wybuch namiętności, a nazajutrz powrót do świateł wielkiego miasta, do Londynu, zgadza się?

Zadrżała, słysząc pogardę w jego głosie. Ale przecież to on chciał, żeby to była zwykła przygoda, po której nastąpi bezkonfliktowe rozstanie.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziała załamującym się głosem.

Adam milczał przez chwilę, najwyraźniej urażony do żywego. Potem, jakby wbrew własnej woli, pogłaskał ją delikatnie po policzku.

– Zostań tutaj – powiedział nieoczekiwanie. Serce Caroline zabiło, oczy zabłyśły jak diamenty.

Wyciągnęła do niego radośnie ramiona w oczekiwaniu, że wyzna jej miłość. Ale on zniszczył wszystko już w następnej sekundzie.

– I tak możesz wyjechać dopiero za dwa lub trzy miesiące. Będziemy więc mieli okazję do niejednej takiej podniecającej nocy – zakończył zimno.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego rana obudziło Caroline głośne bębnienie deszczu o blaszany dach. W pierwszej sekundzie zdziwiła się, widząc Adama obok siebie w łóżku, ale natychmiast powróciły wspomnienia z ostatniej nocy. Uniosła się na łokciu i przyglądała się mu, chcąc zachować w pamięci najdrobniejsze szczegóły jego twarzy i ciała.

– Kocham cię, Adamie – szepnęła bezgłośnie.

On jednak, jakby to słysząc, obudził się w tej samej chwili. W jego pociemniałych oczach widziała wielkie pożądanie. Przytuliwszy ją do siebie, opaloną, ciepłą dłonią głaskał jej obnażone ramię, piersi i twarz.

– Co będzie z nasionami ognistej lilii? – zapytał w końcu. – Czy nie chcesz wracać do Anglii, żeby je zasiać?

– Próbujesz się mnie pozbyć? – zażartowała z lekkim drżeniem w głosie.

– Ależ nie, głuptasku. Przecież cię zaprosiłem, żebyś została u mnie, prawda? Ale nasiona ognistej lilii to główny powód, dla którego tu przyjechałaś. Nie zamierzasz chyba ot tak, po prostu, zostawić ich tutaj?

– Oczywiście że nie. Nie muszę jednak sama odwozić ich do Wielkiej Brytanii. Twój przyjaciel z Canberry, Patrick Edmundson, obiecał mi pomoc. Jeśli dostarczę mu nasiona, on je zapakuje i wyśle pocztą lotniczą pod wskazany adres. Mój udział w tej sprawie jest właściwie zakończony. Jestem pewna, że koledzy w Londynie zajmą się tym jak należy.

– To wspaniale! – wykrzyknął Adam z ulgą. – W takim razie otwieram butelkę szampana!

Po śniadaniu Adam poszedł do swych zajęć w gospodarstwie, a Caroline z filiżanką kawy w ręce rozsiadła się wygodnie w wielkim skórzanym fotelu. Chociaż minął już pierwszy impet burzy, padał wciąż ulewny deszcz dzwoniąc po dachu i bulgocąc w rynnach. Ni stąd, ni zowąd przyszło jej na myśl, że gdyby nawet deszcz padał przez wiele dni, dzieci miałyby się tu gdzie bawić. Marząc na jawie, ujrzała siebie jako żonę Adama z parą jasnowłosych brzdąców bawiących się wesoło na deskach tarasu.

Ale już w następnej chwili posmutniała, wracając do rzeczywistości. On wcale nie pragnie, by została jego żoną. Gdyby było inaczej, już dawno by się oświadczył. Czula jednak, że był bardzo bliski ujawnienia swych uczuć, ale coś go powstrzymywało. Czy Priscilla Townsend? Czyżby nadal ją kochał?

Za sprawą jakiejś tajemnej siły rozmyślania jej przerwał dzwonek telefonu.

– To ty, Caroline? – usłyszała głos, który natychmiast rozpoznała. – Myślałam, że już dawno wróciłaś do Anglii. No, nieważne. Mówi Priscilla Townsend. Czy zastałam Adama? Mam do niego bardzo pilną sprawę.

– Poczekaj chwilę. – Caroline odłożyła słuchawkę drżącą ręką.

Znalazła Adama w warsztacie. Gdy przekazała mu wiadomość, z wyraźnym zniecierpliwieniem na twarzy wstał i wytarł ręce w jakąś brudną szmatę. Ta nie ukrywana niechęć do rozmowy z Priscilla pocieszyła nieco Caroline. Adam jednak zamknął się w

swoim gabinecie i po półgodzinnej rozmowie wyszedł stamtąd gwiżdżąc wesoło.

Zbyt dumna, by prosić o jakieś wyjaśnienia w sprawie Priscilli, Caroline cierpiała męki zazdrości i podejrzliwości. Jednocześnie sama przed sobą nie potrafiła zdobyć się na wyjaśnienie do końca, co czuje wobec Adama. Nigdy dotąd nie przeżywała tak zapierającej dech ekstazy, a jednocześnie nigdy nie było jej tak źle. Z zażenowaniem i wstydem myślała, że pierwszy, burzliwy kontakt miłosny niczego nie zmienił w ich wzajemnych stosunkach. Oprócz jednego: Caroline co wieczór szła do pokoju Adama, gdzie kochali się po wariacku. Nie towarzyszyła jednak temu żadna więź duchowa.

Pewnego wieczora Adam oznajmił bez najmniejszego wstępu, że przybędzie tu z wizytą jego rodzina.

– O Boże! Kiedy? – zapytała zaskoczona Caroline.

– Jutro, na lunch – odpowiedział beztrosko. – Nie wspomniałem ci o tym?

– Ani słówkiem. A nie mamy już świeżych jarzyn. Na litość boską! Co mam przygotować do jedzenia?

– Nie denerwuj się – przerwał jej Adam. – Moja matka przyjedzie z Darwinu i z całą pewnością przywiezie mnóstwo jedzenia. Przyjedzie też z Tanamingu Downs moja siostra Rosemary z Jimem i dwójką dzieci. Ale to tylko zwyczajne rodzinne spotkanie. Nie musisz niczego szykować.

Mimo to Caroline wieczorem wyjęła z zamrażarki mięso i inne produkty. Odkurzyła też całe mieszkanie. A następnego ranka wstała wcześniej i krzątała się w kuchni, piekąc indyka i szarlotkę. O pierwszej po południu wszystko było gotowe. Prawdziwym arcydziełem był stół z sałatkami w różnych kolorach, z zimnym mięsem, chrupiącym chlebem, lśniącoymi kieliszkami i srebrnymi sztućcami. Zarumieniona z podniecenia Caroline zdążyła jeszcze wziąć zimny prysznic, zanim zajechał pod dom pierwszy samochód.

– Przyjechała moja matka! – zawołał Adam z salonu. Caroline, idąc w pośpiechu przez hol, zatrzymała się na sekundę przed lustrem. Niebiesko-rdzawa sukienka uwydatniała jej zgrabną, szczupłą figurę, a brzoskwiniową karnację twarzy podkreślał dyskretny makijaż. Na szyi zawiesiła perełki. Trudno było coś zarzucić jej wyglądowi, ale w żołądku czuła nerwowe skurcze. Czego może po niej oczekiwać matka Adama? Przecież sytuacja Caroline w tym domu wcale nie była jasna. Nie mogła być nawet uważana za sympatię Adama. Będzie miała dużo szczęścia, jeśli ta wizyta minie bez zgrzytów.

Ale dla tej małej, pulchnej, siwowłosej kobiety, która żwawo szła po schodach, sytuacja ani trochę nie wydawała się kłopotliwa. Ledwie widoczna była zza wielkiego, kartonowego pudła, które niosła przed sobą. Adam pośpieszył, żeby jej pomóc.

– Dzień dobry, synku – powitała go, całując w oba policzki. – Co u ciebie?

– W porządku, dziękuję – odpowiedział, obejmując ją i prowadząc do domu. – A ty jak się czujesz?

– Doskonale – odpowiedziała, rozglądając się wokoło. – Jak tu ślicznie! Nigdy nie było tak czysto!

– To dzieło Caroline – wyjaśnił Adam. – Chodź, przedstawię ci ją.

Caroline postąpiła krok naprzód, wyciągając rękę na powitanie, ale została uściskana

równie serdecznie jak Adam. Starsza pani ucałowała ją w oba policzki, a potem, odsuwając od siebie na długość ramienia, uśmiechnęła się z wesołym błyskiem w brązowych oczach.

– Witaj, Caroline.

– Dzień dobry, pani Fletcher.

– Na imię mi Gwen – powiedziała z naciskiem starsza pani. – A teraz pozwólcie, powyciągam, to co przywiozłam. Adamie, mam coś dla ciebie. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Kłęczała na podłodze grzebiąc w pudle i nie mogła widzieć zaskoczenia Caroline.

– Jest! – krzyknęła triumfalnie, trzymając w ręku paczkę owiniętą w czerwono-granatowy papier. No, bierz, nie stój tak! Otwórz!

Adam stał z paczką w ręku, przyglądając się bacznie Caroline.

– Co się stało? – zapytał.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że to twoje urodziny? – wybuchnęła. – Nie mam dla ciebie żadnego prezentu!

– No tak – wtrąciła się Gwen ze zrozumieniem w głosie. – Mężczyźni bywają okropni. Ale nie gniewaj się, Caroline. Pewnie nie chciał ci sprawiać kłopotu.

Caroline nie dała się przekonać.

W ten sposób dał mi do zrozumienia, że nie należę do rodziny, pomyślała. I że nigdy nie będę należeć. No i dobrze! Do diabła z nim! Łzy napłynęły jej do oczu, ale opanowała się i zmusiła do uśmiechu.

Adam rozpakował swój prezent – odtwarzacz płyt kompaktowych – i poszedł przygotować coś do picia. Caroline, czując się trochę winna z powodu swojego zachowania, usiadła obok Gwen i chcąc być uprzejma, zapytała:

– Czy mieszkała pani tutaj przez całe życie?

– Ja? Na szczęście nie! – zawołała Gwen. – Urodziłam się i wychowałam w mieście, w Sydney, ale zakochałam się po uszy w ojcu Adama, kiedy przyjechał tam na wakacje. I tak się zaczęło. Jack był przystojnym mężczyzną. Adam jest do niego podobny, również pod względem charakteru. Doskonale wiedział, czego chce, i nie zmieniał zdania. Oświadczył się już po miesiącu znajomości, a ja z trudem domyśliłam się, że są to oświadczyzny. Wiesz, co mi powiedział?

– Gwen, za miesiąc wracam do interioru. Jedziesz ze mną, czy nie? – A w jakim charakterze? – zapytałam z głupią miną. – To chyba oczywiste, jako moja żona!

– wybuchnął. – A ty co sobie wyobrażałaś? – Prawdziwie romantyczne oświadczyzny.

Caroline roześmiała się.

– I zgodziła się pani?

– Oczywiście. I nigdy tego nie żałowałam. Nie było mi jednak lekko, chyba sama to rozumiesz. Od pierwszej chwili znenawidziłam to miejsce.

– Naprawdę? – Caroline nie ukrywała zdziwienia.

– Otóż to. Jednak Jack całym sercem oddany był tej ziemi i wiedziałam, że nigdzie indziej nie będzie chciał zamieszkać. Zacisnęłam więc zęby i cierpiałam. Płakałam codziennie przez dwa pierwsze lata.

Adam wrócił z napojami i przysłuchiwał się ich rozmowie.

– A co się stało po tych dwóch latach?

– Urodził się Adam – odpowiedziała z prostotą. – I wówczas wszystko się zmieniło.

– Prawda jest taka, mamó, że nie miałaś nawet okazji do wyrażenia swojej opinii, bo tata nigdy cię o to nie zapytał – wtrącił Adam.

– Twój ojciec był dobrym człowiekiem – odpowiedziała poruszona Gwen. – Byliśmy ze sobą bardzo szczęśliwi. Nawet tobie, Adamie, nie pozwolę powiedzieć nic przeciwko niemu.

Caroline spoglądała to na matkę, to na syna, czując się nieco zażenowana. Ale Gwen nagle roześmiała się i sięgnęła po szklanę.

– Co Caroline pomyśli o nas, Adamie? Biedna dziewczyna od tygodni nie widzi ludzi, a gdy już się zjawiają, wpada w sam środek nieporozumień rodzinnych. Lepiej opowiedz mi, Caroline, o ognistej lilii i o leku, który ma być z niej produkowany.

Caroline z ulgą przyjęła zmianę tematu i zaczęła obszernie wyjaśniać, na czym polegają jej badania i poszukiwania, gdy usłyszała, że pod dom zajeżdża drugi samochód. Wyszli więc we trójkę na werandę, aby powitać siostrę Adama i jej rodzinę.

Dwaj chłopcy byli rozkoszni, a Jim Cook, szczupły, opalony na brąz, małomówny, stanowił doskonale uzupełnienie swojej wylewnej żony. Rosemary, wysoka blondynka około trzydziestki, miała miły uśmiech i bezpośredni sposób bycia. Przywitała się z Caroline nie mniej serdecznie niż jej matka, ucałowała Adama i oznajmiła, że umiera z głodu i pragnienia oraz że jest strasznie zmęczona długą podróżą z dziećmi. Niedługo potem zasiedli do stołu.

Wszyscy dokładali starań, żeby Caroline czuła się jak członek rodziny, jednak całe wrażenie psuło zachowanie Adama. Gdy zwracała się do niego, odpowiadał gburowato, monosylabami, co ją raniło i wprawiało w coraz większe zakłopotanie. Wybuch nastąpił już w salonie, gdy zasiedli wygodnie przy kominku, popijając kawę. Rosemary powiedziała, że na Nowy Rok wybiera się do Londynu i zastanawia się, gdzie jest najlepsza styczniowa wyprzedaż. Adam przerwał jej niegrzecznie:

– Poproś Caroline, żeby ci pomogła. Wraca tam już niedługo. W styczniu kończy się jej urlop. Wakacje to wspaniała rzecz, ale czas wracać do domu. Trudno przecież żyć bez tych cholernie cudownych świateł Piccadilly, prawda, Caroline?

Caroline oblała się rumieńcem, nie próbując nawet nic odpowiedzieć. Zauważyła, że Gwen i Rosemary wymieniły spojrzenia.

– Adamie – odezwała się Gwen. – Mówiłeś coś o obniżeniu ceny na krowy rasy bramińskiej. Ja i Jim chętnie rzucilibyśmy na nie okiem. A Rosemary pomoże Caroline przy zmywaniu naczyń.

W pół minuty w pokoju nie było już nikogo, nawet chłopcy gdzieś pobiegli. Rosemary zaśmiała się.

– Poczciwa mama. Czasem jest tak subtelna jak buldożer, ale osiąga niezłe rezultaty. No to teraz sobie swobodnie pogadamy, Caroline.

– O czym? – przestraszyła się Caroline.

– Oczywiście o moim najdroższym bracie. Mama wie, że działam skuteczniej niż CIA,

gdy trzeba wydobyć od kogoś jakieś informacje. Dlatego postarała się, byśmy zostały same. No więc wyrzuć z siebie wszystko, Caroline. Co to, u licha, dzieje się między wami?

– Nic się nie dzieje – odpowiedziała Caroline pośpiesznie i wstała, by przejść do jadalni.

– On przecież postawił sprawę jasno, czyż nie?

Rosemary spojrzała jej prosto w twarz.

– Wręcz przeciwnie – powiedziała z przekonaniem. – Nie ulega wątpliwości, że on szaleje za tobą.

– To absurd! – zaprotestowała gwałtownie Caroline i łzy napłynęły jej do oczu. Nerwowo zaczęła zbierać ze stołu talerze.

– Nie gniewaj się, że wtykam nos w nie swoje sprawy – usprawiedliwiła się Rosemary. – Ale ja kocham Adama. Chociaż dzisiaj zachował się niezbyt elegancko, jest w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem, a my obie z mamą pragniemy tylko jego szczęścia. Bardzo się nam podobasz. Adam jest w tobie zakochany po uszy. O co więc właściwie chodzi? Czy go nie kochasz?

– Tego nie powiedziałam – odrzekła Caroline zduszonym głosem.

– A więc kochasz go? Caroline zawahała się.

– Tak, czy nie? – nalegała Rosemary.

– Jak można okłamywać CIA? – Caroline uśmiechnęła się słabo. – Tak, kocham go! Ale to nie ma żadnego znaczenia. To on nie chce się ze mną wiązać na stałe. Jego zadowala zwykły flirt, przygoda bez komplikacji.

Rosemary usiadła z westchnieniem.

– Mylisz się, i to bardzo – odezwała się po chwili. – On chce mieć rodzinę, żonę, dzieci i nigdy tego nie ukrywał.

– Być może, ale to nie mnie chce za żonę. Wydaje mi się, że on ciągle kocha tę dziewczynę, z którą miał się żenić.

– Priscille? – zdziwiła się Rosemary. – Caroline, nie bądź śmieszna. Adam doskonale wie, że nigdy nic z tego by nie wyszło. Absolutnie do siebie nie pasują. Kiedy tu przyjechała, już po miesiącu widać było, że nic ich nie łączy. Priscilla nie mogłaby tu mieszkać. Mówiła, że samotność doprowadza ją do szaleństwa.

A ja nie przypuszczam, żeby Adam chciał stąd wyjechać.

– To prawda. – Caroline zamyśliła się. – Rozumiem go. To niezwykle urzekająca okolica, ogromne pustkowia, prymityw, a jednocześnie tyle tu życia. Bardzo będę tęsknić.

Rosemary przyjrzała się jej uważnie.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytała. – Przecież pochodzisz z Londynu. Wydawało mi się, że nie możesz doczekać się powrotu do domu.

Caroline uśmiechnęła się smutno.

– To Adam tak uważa – odpowiedziała. – Ale to nieprawda. Nigdy nie lubiłam życia w dużym mieście.

– Caroline, jesteście parą głuptasów. Adam z pewnością myśli, że nie chciałabyś żyć na odludziu, i tylko dlatego nie oświadczył ci się.

– To nonsens!

– Posłuchaj, Adam od najmłodszych lat wiedział, że nasza matka nienawidziła interioru. Sam zaręczył się z kobietą, której też się tu nie podobało. Nic więc dziwnego, że i u ciebie spodziewał się takiej reakcji.

Caroline, zagryzając wargi, patrzyła na nią z niepewną miną.

– Czy powiedziałaś Adamowi, że chciałabyś tu zostać na zawsze? – zapytała Rosemary.

– Nie – przyznała Caroline.

– No to może byś spróbowała? Proszę cię o to. Dla twojego własnego dobra. I dla Adama. Spróbujesz?

Caroline wahała się przez moment. W końcu z rozjaśnioną twarzą i błyszczącymi oczami powiedziała:

– Zgoda, spróbuję.

Następnego ranka, natychmiast po pożegnaniu rodziny Adama, Caroline, zdobywając się na odwagę, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Znalazła Adama w salonie, gdzie przez okno obserwował dwa samochody odjeżdżające czerwoną piaszczystą drogą i rozpryskujące ogromne kałuże.

Popatrzyła na ołowiane niebo i bezkresne pustkowia. Czowała przyspieszony puls i dziwny ucisk w piersi. Bała się tego momentu, gdy odsłoni przed Adamem swoje uczucia.

– Chciałabym z tobą porozmawiać – zaczęła.

– O czym? – zapytał ostro Adam. – Chyba jeszcze nie wyjeżdżasz?

– Nie. Wręcz przeciwnie. Chciałam ci właśnie powiedzieć, że pokochałam tę okolicę i pragnę tu zostać na zawsze.

Słyszała, jak głęboko odetchnął, a potem odwrócił się do niej twarzą.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście, że mówię poważnie – odpowiedziała ze spokojem.

Wyraz udreki powoli zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca niepewnej radości. Aż w końcu przygarnął ją do siebie tak mocno, że jęknęła z bólu.

– Caroline, to najlepsza wiadomość, jaką usłyszałem w życiu!

Spoglądała na niego, zdając sobie sprawę ze swojej niezbyt mądrej miny i czując, jak bijące od niego gorąco przenika całe jej ciało. Adam nachylił się i pocałował ją namiętnie w usta.

– Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś mnie pokochała – zażartował, udając obrażonego.

– Myślę, że da się coś z tym zrobić – odpowiedziała z umyślną afektacją w głosie.

– Postaraj się, żeby nastąpiło to jak najszybciej. Moją żoną może zostać tylko kobieta do szaleństwa we mnie zakochana.

– Ż-żoną?

– No pewnie! Czy nie prosiłem cię, żebyś wyszła za mnie za męża?

– Jak dotąd nie – odparła z udanym oburzeniem.

– No to proszę cię teraz powiedział ze wzruszeniem i przytulił ją do siebie. – Czy wyjdiesz za mnie, Caroline?

Caroline przymknęła oczy z uczuciem błęgiego szczęścia, jakiego nigdy wcześniej w życiu nie doznała.

– Tak – odpowiedziała po prostu.

Adam milczał przez chwilę, trzymając ją w mocnym uścisku. A potem ujął jej twarz w ręce i długo, gorąco całował.

– Kocham cię – szepnął.

Wydawało się jej, że wyznanie to wyrwało mu się mimo woli i że było dla niego wręcz bolesne. Caroline otworzyła oczy i spojrzała w jego udreżoną twarz.

– Powiedziałeś to tak, jakbyś zdradził straszną tajemnicę.

– Bo tak właśnie jest – przyznał wzruszony.

– Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia, ale nawet nie dopuszczałem do siebie myśli, że i ty możesz czuć wobec mnie to samo. To była prawdziwa tortura przebywać z tobą pod jednym dachem, kochać cię, pragnąć ciebie i wiedzieć, że lada dzień wyjedziesz.

– Boże, dlaczego nic nie mówiłeś? A ja byłam pewna, że chcesz się mnie pozbyć.

– Pozbyć się ciebie? – powtórzył z przerażeniem.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam, byłeś na mnie wściekły. Nikt nigdy tak mnie nie potraktował i nie mogłam zrozumieć, dlatego tak się na mnie złościł.

– Masz rację – przyznał, wodząc delikatnie palcami po jej policzkach. – Ale już ci to wyjaśniłem. Wyobraziłem sobie, jak łatwo mogłaś zginąć i chciałem tobą wstrząsnąć, żebyś nie była tak beztrocka. Ale złość szybko mi minęła.

– Niezupełnie! – zaprotestowała. – Gdy obozowaliśmy w interiorze i gdy prawie doszło między nami do zbliżenia, byłeś tak wściekły, że obawiałam się, czy nie spowodujesz wypadku w drodze powrotnej.

– Kochanie, wtedy wyznałaś mi, że ciągle myślisz o swoim mężu. A nie jest to wiadomość, która w takiej sytuacji może wprawić mężczyznę w dobry humor.

– Przepraszam – westchnęła Caroline. – Jeremi już nigdy nie wejdzie między nas, prawda?

– Nie ma mowy. Dawno już powiedziałbym, co do ciebie czuję, gdybym nie sądził, że wciąż go kochasz. Dałem ci więc czas, żebyś się z tym uporała.

Caroline pomyślała, że bardzo głupio zrobiła wtedy, okłamując Adama. Spojrzała na niego ze skruchą.

– Nie kochasz go już, prawda? – zapytał, patrząc na nią z napięciem.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Mówiłam ci już, że nigdy go nie kochałam. Byłam młoda, niedoświadczona i bardzo chciałam wyjść za mąż. Ale Jeremi szybko pozbawił mnie iluzji.

Coś gorzkiego zabrzmiało w jej głosie.

– Co właściwie przez to rozumiesz? – zapytał Adam zaniepokojony. – Czy to ma coś wspólnego z tym idiotycznym pomysłem, że jesteś zimna?

– Częściowo. Przy tobie zrozumiałam, że i ja również potrafię przeżywać namiętność, ale w dalszym ciągu nie dowierzałam sobie. Jeremi zniszczył całkowicie moją wiarę w samą siebie.

– Co on ci zrobił? – zapytał ponuro Adam.

Z pewnym wahaniem opowiedziała mu o niewierności Jeremiego, o jego skłonnościach do picia i o tym, że zrzucił na nią całą odpowiedzialność za wszystkie niepowodzenia w ich związku.

– Tak więc to nie miłość do niego powstrzymywała mnie – powiedziała na zakończenie. – To ból i upokorzenie, o których nie mogłam zapomnieć.

– Moje biedne, kochane maleństwo – szepnął Adam, tuląc ją do siebie.

Czując ciepły oddech Adama na włosach i słysząc rytmiczne bicie jego serca, uszczęśliwiona westchnęła głęboko i wtuliła się mocniej w jego ramiona.

– Już dawno trzeba było mi to powiedzieć – mruknął. – Udowodniłbym ci, że nie wszyscy mężczyźni są tacy jak on.

– Nie mówmy o tym – odpowiedziała pogodnie. – Mamy to już za sobą. Udało mi się wreszcie pozbyć przeszłości, tak jak tego chciałeś. A moja przyszłość jest tu, w Winnamurze, z tobą.

Adam odsunął ją niespodziewanie.

– Czy jesteś tego całkowicie, pewna? – zapytał szorstko.

Zaskoczona nagłą zmianą jego nastroju, patrzyła skonsternowana.

– Ależ tak, jestem pewna! Kocham cię, Adamie! Przecież tylko dlatego przychodziłam do ciebie wieczorami przez te ostatnie tygodnie.

– To o niczym nie świadczy – zauważył ze smutnym uśmiechem. – Mogłaś spać ze mną z wielu różnych powodów. Bo chciałaś być blisko skalnych malowideł, bo potraktowałaś to jako nieszkodliwy romans, bo chciałaś przekonać się, że nie jesteś zimna...

– Naprawdę tak uważasz? – zapytała Caroline do głębi urażona. – Czy rzeczywiście wierzysz w i. e. idiotyzmy?

– Nie – powiedział cicho. – Choć nieraz przychodziło mi to na myśl. Ale jednego obawiam się poważnie, Caroline. Czyż nie mówiłaś, że dla ciebie najważniejsza w życiu jest praca?

– Tak, mówiłam – przyznała. – Ale to nie była cała prawda, Adamie. W tym czasie tylko ona mi pozostała. Ale i wtedy zazdrościłam innym kobietom, że mają mężów i dzieci. Pamiętam, jak jadąc któregoś dnia autobusem zobaczyłam kobietę i mężczyznę popychających wspólnie wózek dziecięcy i wesoło ze sobą rozmawiających. Gdy zatrzymali się pod światłami na skrzyżowaniu, on objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Taka zwykła rzecz, ale wzruszyłam się do łez. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że miłość znaczy dla mnie o wiele więcej niż kariera zawodowa.

Adam w dalszym ciągu wydawał się nie przekonany.

– Nie wiem – mruknął. – Pragnę ci wierzyć, Caroline. Ale przecież moja matka nienawidziła tego domu, to samo było z Priscillą. Za nic na świecie nie chciałbym cię unieszczęśliwić.

Caroline zeszywniała, słysząc imię Priscilli.

– Adamie, nie opowiedziałeś mi nigdy, co właściwie zdarzyło się między tobą i Priscillą – zaczęła cicho drżącym głosem. – Czy kochałeś się z nią tamtej nocy w Canberrze?

Chwyił ją za ramiona i potrząsnął silnie.

– Oczywiście, że nie! Ponieważ jednak byłaś tak zazdrosna, postanowiłem cię podręczyć. Miałem nadzieję, że dzięki temu zrozumiesz, jak bardzo zależy ci na mnie.

– O tak! Zależało mi i to bardzo. Priscilla jednak dzwoniła do ciebie dwa razy, odkąd wróciliśmy z Canberry. Czy jesteś pewien, że już jej nie kochasz?

– Całkowicie – odpowiedział, najwyraźniej rozbawiony. – Szkoda, że nie słyszałaś, o czym mówiliśmy, moja kochana. Za pierwszym razem telefonowała, by mi oznajmić, że znalazła innego przyjaciela, który bije mnie na głowę, jeśli chodzi o pieniądze, status społeczny i urok osobisty. Za drugim razem chciała ze mną omówić pewne sprawy związane z eksportem mięsa do Japonii. Bardzo romantyczna rozmowa, możesz mi wierzyć.

Caroline roześmiała się mimo woli.

– W takim razie nie widzę żadnych przeszkód.

– Ale czy na pewno będziesz tu szczęśliwa? – upierał się przy swych wątpliwościach. – Życie w naszej prowincji jest bardzo ciężkie, Caroline. Wiele kobiet z trudem znosi osamotnienie. Teraz naturalnie nie jest tak źle, jak było dawniej, a Winnamura przynosi dobre dochody. Raz w roku mógłbym cię zabierać na wakacje do Anglii, kiedy tylko byś chciała, latałabyś na Bali i do Hongkongu. Nie mówiąc już o wypadach do Canberry. Ale i tak większość czasu spędzałabyś w domu, gdzie czułabyś się samotnie.

– Ależ Adamie, nigdy nie będę czuć się tutaj samotnie! – zaprotestowała Caroline. – Zawsze będziesz ty, a poza tym będę zbyt zajęta, by zauważyć, że jestem sama.

– No tak, ale poszukiwania ognistej lili już zakończyłaś. Co właściwie zamierzasz robić?

– Och, na litość boską! – krzyknęła niecierpliwie.

– Ten region to prawdziwy raj dla botanika. Tysiące innych nie znanych nauce roślin czeka, żeby się nimi ktoś zainteresował. Może i z nich da się wyprodukować jakieś rewelacyjne lekarstwa. Poza tym, mogę założyć plantację ognistej lili, jeśli naprawdę okaże się potrzebna w medycynie.

Adam pokiwał głową z podziwem.

– Wygląda na to, że wszystko sobie dokładnie przemyślałaś.

– Tak – powiedziała wtulając się w jego ramiona.

– A jeśli wszystko zawiedzie, pozostaje jeszcze to, dzięki czemu twoja matka przestała się skarżyć na samotność.

Przez chwilę patrzył na nią zbity z tropu. Aż nagle zrozumiał.

– Dzieci?

– Jeżeli i ty będziesz tego chciał. – Caroline opuściła oczy, kręcąc guzik u jego koszuli.

– Jeśli chcesz znać prawdę, Caroline – powiedział cicho, wzruszonym głosem – marzę, by mieć z tobą dziecko. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak byłbym szczęśliwy i dumny.

Powoli, pieszczotliwym ruchem opuścił ręce na jej piersi, a potem niżej, na brzuch. Widziała w jego wzroku szczerą i miłą.

– Och, Adamie – szepnęła. – Kocham cię. A on zaczął powoli rozpinać jej bluzkę.

– Myślę, że możemy zacząć od zaraz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Siostra Adama, Rosemary, była bardzo poruszona, gdy powiadomili ją przez telefon, że zamierzają się pobrać.

– Kiedy? – zapytała. – Jak tylko skończy się pora deszczowa? Wspaniały pomysł! W maju będzie mnóstwo kwiatów i urządzimy huczne przyjęcie. Należy zaraz powiadomić wszystkich. Już ja się tym zajmę. W ciągu dwóch tygodni skontaktuję się z kim trzeba, i będziecie mieli największe przyjęcie zaręczynowe po tej stronie Alice Springs. Co ty na to, Caroline?

Rosemary dotrzymała słowa i wkrótce drogą telefoniczną i radiową zaczęła przekazywać informacje o zaręczynach i bliskim przyjęciu. Pierścionek zaręczynowy, zamówiony u jubilera w Darwinie, został przesłany pocztą lotniczą. Wydawało się, że wszystko rozwija się pomyślnie. I wtedy, na dwa dni przed przyjęciem, Caroline zrobiła coś z pozoru całkiem niewinnego, co jednak omal nie stało się powodem zerwania z Adamem.

W czwartek rano Adam był bardzo zajęty ważnymi pracami na farmie, a Caroline zamierzała przejrzeć nasiona ognistej lilii. Niestety, nigdzie w domu nie mogła znaleźć swojej ulubionej podręcznej lupy. Doszła do wniosku, że musiała ją zgubić na polu ognistych lilii. Lupa była droga, trudno ją zastąpić inną, a jeśli zostanie tam do końca pory deszczowej, ulegnie zniszczeniu. Trzeba więc tam pojechać. To prawda, że Adam zapowiedział, że zawsze musi jej sam towarzyszyć w tych eskapadach, ale teraz jest bardzo zajęty. Sytuacja już się zmieniła, Adam jej ufa, a droga jest sucha i trafić łatwo. Obawiała się tylko burzy i postanowiła zasięgnąć informacji u Danny'ego Japuluuli. Znalazła go w zagrodzie dla bydła.

– Jak myślisz, czy będzie dzisiaj padać? Spojrzał na niebo i potrząsnął głową.

– Nie, może pani jechać.

– Wrócę niedługo – obiecała i pomachała mu ręką. Drogą tą mogła jechać do różnych miejsc. Nie zdradziła Danny'emu swoich planów. Po przybyciu na miejsce przez pół godziny bezskutecznie szukała lupy. Przypomniała sobie nagle, że oglądali z Adamem święte malowidła. Tak jak i za pierwszym razem ogarnął ją w jaskini dziwny lęk. Szybko odnalazła lupę. Leżała na kępie spalonej trawy, ale na szczęście była nie uszkodzona. Wycierała ją właśnie do sucha, gdy nagle ktoś położył rękę na jej ramieniu. Drgnęła przerażona.

– Danny! – zawołała. – Omal nie umarłam ze strachu! Co ty, u licha, tu robisz?

– Mógłbym panią o to samo zapytać – odpowiedział. – Przecież szef nie pozwolił pani przyjeżdżać tu samej.

– Tak, wiem – przyznała Caroline ze skruszoną miną. – Ale zgubiłam tu moją lupę, widzisz? Chciałam ją znaleźć, zanim zardzewieje od wilgoci. Nie miałam zamiaru ruszać świętych malowideł.

– Nigdy pani o to nie podejrzewałem. Ale gdyby zdarzył się jakiś wypadek? Albo gdyby natknęła się pani na węża? Musi być pani zawsze z kimś, kto panią obroni. Chodźmy już stąd.

W drodze do samochodu rozmawiali o zaręczynowym przyjęciu i o pracy Caroline.

– Wie pani, starszyzna naszego plemienia jest naprawdę z pani dumna – powiedział

Danny. – Szczęśliwi są, że mogą się przyczynić do ratowania życia wielu ludziom. Stary Charlie Yunupingu zwierzył mi się wczoraj, że chciałby być obecny na uroczystości pani zaręczyn z Adamem w Tanamingu Downs, ale to dla niego zbyt długa droga – dziesięć dni marszu.

Caroline stanęła jak wryta, ogromnie zawstydzona.

– Och, Danny, strasznie mi przykro! Nie przyszło mi do głowy, żeby zaprosić starszyznę plemienia, bo ciągle gdzieś wędrują. Ale będzie nam bardzo miło, jeśli się zjawią. Jak sądzisz, czy zgodziliby się pojechać autobusem? A może to dla nich zbyt nowoczesny środek transportu?

– Dla pani i Adama zgodzą się nawet na to – odpowiedział z uśmiechem Danny.

Tak więc w dniu zaręczyn cała ludność Winnamury autobusami, samochodami osobowymi i dżipami wybrała się do położonego ponad trzysta kilometrów na południe Tanamingu Downs. Chociaż pora deszczowa już minęła, tego dnia znów trochę popadało. Roślinność wokół była soczyście zielona, a nad ziemią unosiła się lekka mgiełka. Życie kipiało na równinach pełnych egzotycznych roślin i śpiewających ptaków. Caroline czuła się tak radosna, jak nigdy dotąd, mimo iż znajdowała się tak daleko od znanego sobie, zurbanizowanego świata.

– Co za wspaniała, dzika przyroda! – wykrzyknęła z zachwytem do Adama. – Nie tknięta ręką człowieka!

Czuję się tak, jakbym była jednym z pierwszych ludzi na ziemi.

– Masz rację. Ja czuję to samo. Niestety, jeśli dobrze znam Rosemary, zmienisz zdanie po przyjeździe do Tanamingu. Będzie tam rojno i gwarno, założę się, że sprosiła na przyjęcie wszystkich w promieniu ośmiuset kilometrów.

I nie pomylił się. Rosemary ściągnęła ponad sto osób. Niektóre z nich Caroline już знаła. Z Darwinu przyjechała matka Adama i jego brat Bruce. Mark Sloane przyleciał z Queenslandu wraz z żoną, Webbowie przyjechali samochodem, a wynajęty autobus przywiózł aborygenów z Winnamury.

Jedzenia było w bród: dwa upieczone na rożnie woły, mnóstwo kiełbasek, hamburgerów i pokrojonego na plastry chrupiącego bekonu. W cieniu ogromnego drzewa pieprzowego sześciu kelnerów żwawo krzątało się przy beczkach z zimnym piwem i skrzynkach z różnymi sokami. Kiedy zapadł mrok, ku uciesze dzieci rozpalono wielkie ognisko i zaczęto puszczać fajerwerki. Potem rozpoczęły się tańce. Caroline bawiła się wyśmienicie.

Do południa następnego dnia większość gości już się rozjechała. Adam niespokojnie spoglądał na niebo.

– Chyba dziś wieczorem znowu będzie padać – powiedział.

– Zawsze najlepiej w rodzinie przepowiadałeś pogodę – stwierdziła Rosemary. – W takim razie musicie już jechać. Będziemy w kontakcie, Caroline. Może zabierzecie ze sobą trochę jedzenia? Zostało go tyle, że starczyłoby na pięć lat.

Droga powrotna upłynęła spokojnie. Do Winnamury dojechali już po ciemku. Caroline była w doskonałym nastroju, ale kiedy wchodzili na schody, na werandzie pojawiła się szczupła postać Japululi. Nie uśmiechał się, jak zazwyczaj, przeciwnie, jego twarz była

dziwnie poważna i serce Caroline skurczyło się w przeczuciu nieszczęścia. Najwyraźniej Adam doznał takiego samego wrażenia, bo ostrym głosem zawołał:

– Danny! Czy coś się stało?

– Straszne nieszczęście – odpowiedział Danny. – Wrócił ten łobuz Michael Barclay i ukradł wszystkie święte malowidła.

– Co takiego? – Zdenerwowany Adam uderzył pięścią w żelazną poręcz. – W jaki sposób? Kiedy?

Danny wzruszył ramionami.

– Nic prostszego pod słońcem. Wszyscy pojechaliśmy na tę waszą imprezę. Kiedy wróciłem, zauważyłem świeże ślady dżipa za zagrodą dla bydła i od razu odgadłem, co się święci. Pojechałem tam, ale było już za późno. Barclay wyciął wszystkie malowidła.

– Przysięgam, że jeszcze tego pożałuje! – zawołał Adam nieswoim głosem. – Znajdę go choćby pod ziemią!

– Nie będzie to łatwe – zauważył Danny. – Policja nie robi wielkich nadziei. Pytali mnie o zdjęcia, które pan zrobił po pierwszej kradzieży. Właśnie szukałem ich w domu.

– Znalazłeś?

Danny bez słowa pokazał niewielki albumik z fotografiami.

– Pojadę tam i poczekam na policję. Wstrząśnięta do głębi Caroline patrzyła w milczeniu, jak Danny z nieszczęśliwą miną schodzi ze schodów. Chociaż malowidła nie miały dla niej takiego znaczenia jak dla aborygenów, przerażona była tą kradzieżą. Szczęśliwy nastrój po przyjęciu zaręczynowym zniknął bez śladu. Pograżona w smutnych myślach otworzyła drzwi frontowe i zapaliła światło. Potem zaciągnęła zasłony i odwróciła się do Adama.

– To niesłychane! Mam nadzieję, że złapią tego drania!

– Naprawdę? – zapytał Adam dziwnym głosem.

– Oczywiście! – odparła z gniewem. – A właściwie, o co ci chodzi?

Adam przyglądał się jej z nieruchomą twarzą zimnym wzrokiem.

– O to właśnie – powiedział przez zaciśnięte zęby – że wygląda to na dziwnie szczęśliwy zbieg okoliczności dla Barclaya. Co ty na to, Caroline? Tym bardziej że był to twój szlachetny pomysł, aby wynająć autobus i zabrać aborygenów.

Caroline osłupiała z przerażenia. Poczula się tak, jakby stanęła nagle nad przepaścią.

– Co to ma znaczyć? – wyjąkała.

– Przecież to całkiem jasne – odparł gwałtownie.

– To było z góry ukartowane, prawda? Genialny pomysł: odciągnąć wszystkich trzysta kilometrów stąd, żeby twój stary kumpel mógł zwędzić malowidła! Muszę ci przyznać jedno, Caroline – masz fantazję.

– Jesteś chyba szalony, jeśli wierzysz w te bzdury, Adamie! – krzyknęła.

– Nie, Caroline – powiedział z groźbą w głosie.

– Rzeczywiście, byłem szalony, wierząc przez moment, że mnie kochasz. Teraz już wiem, jaka jesteś naprawdę.

Caroline czuła łomotanie serca, pulsowanie krwi w skroniach i zalewającą ją gorącą falę złości.

– A mianowicie jaka? – wyszeptła z trudem.

– Dziwka bez serca, której wszystko jedno, z kim śpi, byleby zdobyć to, czego chce.

– Jak śmiesz? Jeśli tak myślisz, to zabieraj swój pierścionek! Nie poślubię człowieka, który ma o mnie taką opinię!

Szlochając z rozpaczy i gniewu, ściągnęła z palca pierścionek i rzuciła nim w Adama. Trafił go w pierś i upadł z brzękiem na podłogę. Adam, świdrując ją wzrokiem, zaklaskał w ręce.

– Brawo! Wspaniałe przedstawienie! – zaśmiał się ironicznie. – Jak ślicznie drżą ci usta, kochanie. Mieliśmy już taką wzruszającą scenkę kilka tygodni temu, kiedy powiedziałaś, że się pomyliłaś i wcale mnie nie kochasz.

– Jesteś podły!

Adam zrobił krok w jej stronę.

– Powiedz mi – powiedział przesadnie uprzejmym tonem – czy sypiałaś z Barclayem? Z pewnością tak. Czyżbyś mogła odmówić współnikowi? A jak ja wypadam w porównaniu z nim?

Przerażona Caroline patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. To chyba jakiś koszmarny sen. Adam nie mógłby aż tak jej zniechęcić.

– Przestań! – poprosiła błagalnie.

– Dlaczego? Z jakiego powodu miałbym się nad tobą litować? Kochałem cię, Caroline. Byłbym w stanie wybaczyć ci wszystko, ale wejść do mego łóżka i udawać, że mnie kochasz... Są rzeczy niemożliwe do ukrycia. I pożądanie należy właśnie do nich. Przynajmniej mam tę satysfakcję, że pragnęłaś mnie, choć bardzo się temu opierałaś.

– Nie pochlebiaj sobie! – krzyknęła, nie panując już nad sobą. – Nigdy cię nie pragnęłam, Adamie! Nigdy!

– Kłamiesz! – wybuchnął. – Twoje ciało cię zdradza. Zawsze wiem, kiedy mnie pragniesz, Caroline, nawet teraz mnie chcesz.

– To nieprawda! – krzyknęła rozwścieczona.

– Czyżby? No to może sprawdzimy?

Szybkim, gwałtownym ruchem chwycił jej podbródek i brutalnie pocałował w usta. Próbowła protestować, uwolnić się z jego objęć, ale nie dała rady. Z męską butą i arogancją Adam gniótł jej wargi. Gdy zorientowała się, że wszelkie próby uwolnienia się jeszcze bardziej go rozwścieczają, zmieniła taktykę, dając za wygraną.

Był to fatalny błąd, który wykorzystał bezlitośnie. Natychmiast wsunął rękę pod bluzkę i zaczął szarpać jej piersi. Jęknęła, jeszcze się opierając, ale już ulegając podnieceniu. Adam wydał ochryply okrzyk triumfu i powoli, zmysłowo zaczął pieścić jej sutki. Caroline krzyknęła z bólu, ale dreszcz pożądania wstrząsnął jej ciałem.

– Chcesz innie, chcesz? – dyszał jej do ucha.

– Nie! – rozpaczliwie broniła się, odrywając jego ręce od piersi. – Nie bądź śmieszny!

Jednakże ciało reagowało niezależnie od rozumu. Choć się buntowała, oczy jej pociemniały z podniecenia. Gdy ponownie przycisnął ją mocno, mimo że wściekła na niego, odpowiedziała namiętym pocałunkiem. Adam pchnął ją na podłogę i położył na szorstkim

dywanie. Napierał na nią silnie ciałem i wiewił mocnym uchwycem rąk.

– Jeszcze ten jeden raz, na pożegnanie – wychrypiał. – Co ty na to, kochanie?

Powiedziawszy to, sięgnął ręką pod spódnicę i ściągnął z niej majteczki. Oddychając ciężko, nie spuszczała z niego oczu, miotana mieszanymi uczuciami wściekłości, upokorzenia, namiętności i nienawiści. Nie przeszkadzała mu, gdy powoli rozpinał spodnie. Wziął ją z przerażającą siłą i brutalnością. I chociaż w tym zbliżeniu nie było ani cienia miłości, oboje doznali niezwyklej ekstazy i uczucia spełnienia. Leżeli potem obok siebie zmęczeni, drżący. W końcu Adam odsunął się od Caroline, wstał nagi, z wrogością na twarzy, i rozkazał: – A teraz się wynoś.

W miesiąc później Caroline stała przy oknie, wyglądając na szarą, londyńską ulicę. Była czwarta po południu, ale już zmierchało. Śnieg padał cicho na opustoszały plac zabaw i na czarne, pozbawione liści drzewa nad Tamizą. Wracając do domu spotkała grupę kołędników wędrujących od drzwi do drzwi. I teraz z oddali dochodziły dźwięki wruszającej kołedy: „Śpiewajcie, aniołowie... „

Żeby tylko tu nie przyszli, pomyślała z niechęcią. Nie mam świątecznego nastroju. Zresztą w ogóle nic mnie nie bawi.

Kiedy tak patrzyła na gęstniejący na dworze mrok, ogarniał ją coraz większy smutek. Wróciły nieproszone wspomnienia kraju, gdzie światło słońca jest tak jaskrawe, a niebo skrzy się cudownym błękitem. Okrutna pamięć nie pozwalała również zapomnieć o upartym, silnym, opalonym na brąz mężczyźnie, który dał jej radość i ból. Ale to już przeszłość. Teraz miała przed sobą ponurą przyszłość.

Usłyszała jakieś kroki na ganku i zniecierpliwiona podeszła do drzwi.

– Przekłęci kołędnicy! – mruknęła pod nosem. – Potrzebni mi są... O mój Boże!

To nie kołędnicy stali pod drzwiami, ale wysoki blondyn z bukietem czerwonych róż.

– Adam?

Postąpił krok naprzód do światła i wtedy zobaczyła śnieg na jego płaszczu i ciemne sińce pod oczami.

– Czy mogę wejść? – zapytał.

– Nie! – krzyknęła, usiłując zatrzaskać mu drzwi przed nosem. – Nie! Nie chcę cię już nigdy widzieć!

Ale on zastawił drzwi nogą.

– Caroline, proszę cię! Przebyłem prawie dwadzieścia tysięcy kilometrów, żeby cię przeprosić. Przynajmniej zechciej mnie wysłuchać.

Zawahała się przez chwilę i spojrzała na błyszczące na czarnym niebie gwiazdy. I właśnie wtedy zatrzymała się przed gankiem grupka zarumienionych z zimna dzieciaków. Poszeptali między sobą i zaczęli śpiewać. Adam skorzystał z zamieszania i bezceremonialnie wszedł do środka. Caroline, słuchając kołedy „Cicha noc”, pomyślała w popłochu: To niemożliwe, to nie może być prawda!

Kiedy śpiew ustał, Adam wsunął dzieciakom do puszek dziesięciofuntowy banknot i zamknął drzwi. Dopiero wtedy Caroline zrozumiała, że wszystko to dzieje się naprawdę.

- Jak mnie odnalazłeś? – zapytała cicho.
- Zadzwoniłem do muzeum. Powiedzieli, że mieszkasz u przyjaciółki.
- Wyjdź! – powiedziała Caroline błagalnym tonem.
- Przedtem musisz mnie wysłuchać – odrzekł stanowczo Adam.

Położył róże na stoliku w holu, podszedł do niej i delikatnie odgarnął opadające na twarz włosy. Przez sekundę patrzyli na siebie ze śmiertelną udręką w oczach. Wreszcie Caroline odezwała się pierwsza:

– Odejdź!

– Chcę cię przeprosić, Caroline. Żałuję ogromnie, że cię podejrzewałem. Czuję się rozpaczliwie winny. Wybacz mi, proszę. Przepraszam cię również za to, co zrobiłem potem. Zachowałem się jak skończony łajdak.

Caroline, tracąc panowanie nad sobą, krzyknęła:

– Tak, zachowałeś się jak łajdak. Wykorzystałeś mnie, jakbym nic dla ciebie nie znaczyła!

Głos jej się załamał i wybuchnęła niepohamowanym szlochem. Adam objął ją i mocno przytulił. Oparłszy policzek na jej włosach, westchnął ciężko.

– A tymczasem prawda jest taka, że kocham cię nad życie – szepnął. – Caroline, Caroline, jak strasznie mi przykro, że cię podejrzewałem.

– Jak w ogóle mogło ci to przyjść do głowy?

– zapytała, zwróciwszy do niego zalaną łzami twarz.

– Czy miałaś choćby jakiś najmniejszy powód?

– Nie wiem, chyba postradałem zmysły. Kiedy dowiedziałem się, że byłaś wówczas sama w świętym miejscu, zacząłem mieć wątpliwości.

– Kto ci o tym powiedział? Danny?

– Danny? Niezupełnie. Zainstalowałem w skałach alarm przeciwwłamaniowy i kamery. Kiedy tam pojechałaś, Danny wyłączył alarm, ale oboje zostaliście sfotografowani. Właśnie dzięki tej metodzie policja złapała Michaela Barclaya.

– Złapali go?

– Tak. Kiedy wszyscy byliśmy na przyjęciu, na posterunku w Darwinie odezwał się sygnał alarmowy.

Dopadli go na lotnisku w kilka dni później i odebrali malowidła. Powiedział, że jesteś niewinna. Aleja i tak nigdy nie powinienem był cię podejrzewać.

– To dlaczego tak myślałeś?

– Bo nie mogłem uwierzyć, że naprawdę mnie kochasz.

Caroline milczała przez chwilę.

– Ale tak było – szepnęła.

Spojrzał jej prosto w oczy i łagodnie zapytał:

– Było?

Caroline serce omal nie wyskoczyło z piersi. Dobrze, że Adam trzymał ją mocno, bo nogi tak jej drżały, że na pewno by upadła.

– Teraz też cię kocham – wyznała.

– To wszystko, co chciałem wiedzieć – powiedział cicho Adam.
I pocałował Caroline w usta tak, że rozproszył do końca wszystkie jej wątpliwości.